

J. I. KRASZEWSKI.
POWIEŚCI HISTORYCZNE.
XI.

POGROBEK.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z czasów Przemysławowskich.

TOM I.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

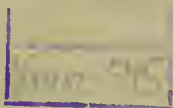
Michał Glücksberg.

Maurycy Orgelbrand.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1880.



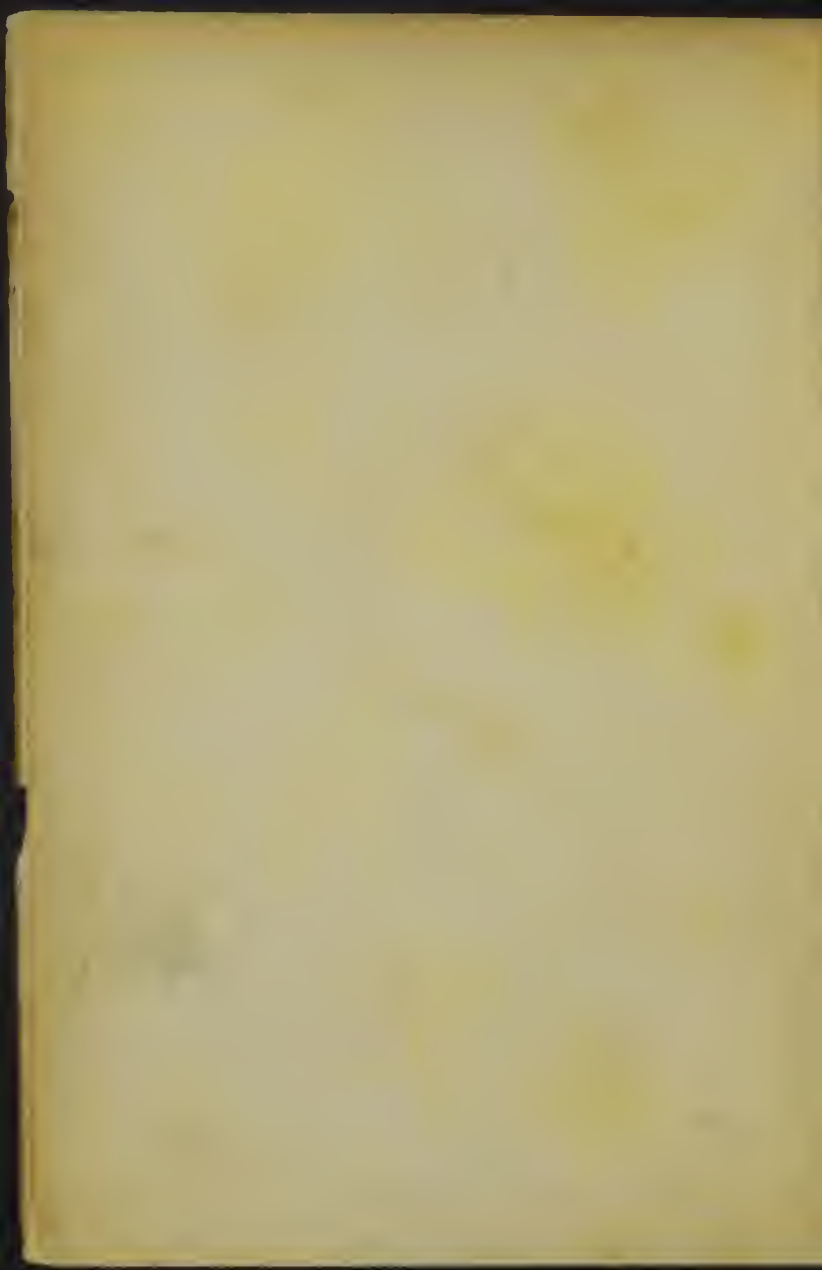
Z drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

PREZESOWI
IZBY HANDLOWEJ KRAKOWSKIEJ
PANU BARANOWSKIEMU
NA PAMIĄTKĘ Z NIM ODBYTEJ PODRÓŻY

1880. W dzień
Zwiastowania N. Panny.
Drezno.

ofiaruje

Autor.



1.

Ze wszystkich dworów książęcych w Polsce, w drugiej połowie XIII wieku, nie było mniej wystawnego, skromniejszego nad Kaliski, księcia Bolesława, zwanego Pobożnym.

Wojak zawołany a razem mąż bogobojny, za żonę miał równie jak sam, zacną i świątobliwą niewiastę Jolantę, siostrę Kingi, żony Bolesława, krakowskiego księcia. Nieustanne wojny go trapiły, to z napadającymi na granice jego Brandeburczykami, to z książętami Ślązkiemi, to z innemi powinowatemi chciwemi ziemi a nie mogącemi usiedzieć spokojnie. Nie mógł więc prawie wytchnąć dnia jednego, kręcąc się ciągle po rubieżach u Santoka i Drdzenia, zakładając i zdobywając zameczki, później strzegąc już nie tylko swoich posiadłości, ale i zdanego mu w opiekę

młodego Przemysława Pogrobka, który się był Poznańskiemu Przemysławowi już po jego zgonie narodził. Losy tego sieroty obchodziły go tem mocniej, że własnego syna nie miał, a trzy córki tylko, którym ziemi po sobie oddać nie mógł, bo męskiej dłoni potrzebowała.

Było więc co robić, i sięść pod dachem na wypoczynek nie mógł ani pomyśleć książę Bolesław, ale to była krzepka i zdrowa natura, do pracy i znoju stworzona, nie przykrząca sobie niemi, zawsze wesołej myśli, spokojnego oblicza, czystego serca, prostoty wielkiej.

Wśród tych mnogich dworów ówczesnych książęcych w Krakowie, Sieradziu, Poznaniu, Wrocławiu, Lignicy, Opolu, Płocku, Kaliski najmniej oczy ściągał i nie starał się błyszczeć.

Ludzi do wojny sposobnych, Bolesław musiał mieć ciągle, bo mu odetchnąć nie dawano, ale to byli jakby bracia młodszy, jak prawa drużyna i dzieci. Wszyscy z nim żyli na stopie poufałości z poszanowaniem połączonej, którą dobroduszość jego wyzywała i cieszyła się nią. Kochali go bliżsi i dalsi, a choć czasy owe wymagały aby wódz odznaczał się, budził cześć dla siebie, Bolesław mało dbał o to, by się dumnie postawić.

Chodził jak prosty rycerz, nie dbając o piękne zbroje, ani o drogie szkarłaty i bisiory, klejnotów nie lubił, a gdy w domu siedział, nosił się w kożusku prostym i skórzniach, w czapce starej

i wytartej, że go nieraz obey przybywający posel wziął za urzędnika dworskiego; z czego on śmiał się tylko.

Wpatrzywszy się w jego niepozorną twarz ogorzałą, z żywemi oczyma czarnemi, mógł jednak każdy domyśleć się w nim szlachetnej krwi i pańskiego ducha. Wejrzenie miał śmiale a bystre, uśmiech przy łagodności pełen zaufania w siebie, czoło jasne a rozumne. Ale postawą nie nadrabiał wcale, zdał się chrześcijańską pokorą chcieć pokryć swe pochodzenie a ludzi lubił, gdy mu zamiast bić czołem, zbliżali się doń z zafaniem jak do ojca.

Nie było litościwszego nadeń człowieka w powszednim życiu, bo dobry chrześcijanin w każdym widział brata swojego w Chrystusie; choć na placu boju czy z poganym czy z Sasami a Brandeburczykami (bo ci razem chodzili), żołnierz był zuchwały, niemal szalony.

Szedł do boju przeżegnawszy się, z modlitwą i ową starą pieśnią do Bogarodziecy, niezapomnianą od czasów Chrobrego — ale wpadłszy w zamęt i wrzawę bojową, gdy się w nim krew rycerska ocknęła i zakipiała — stawał się strasznym dla wrogów.

Gdy potem ostyglszy poszedł na pobojuwisko z księżmi, bo miał ten zwyczaj, że do rannych i konających ich prowadził — lży mu się toczyły, patrząc na pokaleczonych i dogorywających. Łamał

ręce narzekając na te nieuchronne a nieustanne wojny.

— Nie będzie temu końca, — mawiał, — aż jednego pana dostaną te ziemie, a nas drobnych los albo wymorzy lub wyżenie. Sami się my wypleuiamy i niszczyr ten kraj, który Bóg opiece naszej poruczył.

Ale daremne to były narzekania, gdyż zamiast jednaczyć się, dzieliły się ziemie polskie na coraz drobniejsze części. Mazowieccy się rozłamywali. Ślężcy rozradzali jak mrowie, Kraków z Sandomierzem szedł osobno. Poznań z Gnieznen stały same przez się. Im więcej przybywało dzieci, tem rosło więcej chciwych władzy nieprzyjaciół. Brat bratu, synowiec stryjowi wydierał, nie rzadko syn powstawał na ojca. Niektórzy sami ku obronie i napaści nie mając sily, przyzywali Prusaków i Litwę. Siedzieli już na karku Mazowsza i Pomorza niemieccy panowie Krzyżowi; prawem i bezprawiem zawojowując ziemie.

Czasy były zaprawdę ciężkie. Nikt nikomu nie wierzył. Straszno było pojechać zaproszonemu w gościnę aby, jak to się nieraz trafiło, nie zostać schwyconym, więzionym w klatce i zmuszonym oddawać powiaty za życie. Wyruszyć do odleglejszego kościoła bał się każdy bez silnego orszaku, bo i tam u ołtarza mógł nań czyhać brat, swat albo jaki pokrewny.

Nie pomagały na to ani małżeństwa, ani kumania się i krwi związki.

Namiętności były rozhukane. Pobożność posunięta do szału niemał, rozpusta do bezwstydu, a obok wstrzemięźliwość do klasztornego w małżeństwach odosobnienia. Gdy Bolesław Wstydlivy z własną nie żył żoną, Mszczuj pomorski trzymał sobie mniszkę ze Słupskiego klasztoru wziętą. Działy się rzeczy straszne, dzikie, znamionujące naturę namiętną, ludzi nieokiężnanych, równie gorąco goniących za złem i dobrem. Miary w niczem nie było. Niewiasty ówczesne dawały przykład świątobliwości nadzwyczajnej, a mężczyźni niektórzy szli pociągnięci za niemi.

Na Bolesława Pobożnego wpływała, choć łagodna i dobra, ale jak siostra świątobliwa Jolanta, żona jego, która wzdychała przy mężu do klasztoru. Bolesław we wszystkim oprócz wojennego szału, umiarkowańszy, nie dał się jej jednak skłonić do naśladowania szwagra Pudyka... Małżeństwo było przykładne, milujące się, a Bolesław wymógł na żonę, iż o Bogu zapominając o dzieciach i o nim też pamiętała.

Siostra Kinga napominała ją ciągle do surowszego życia, do przygotowania się, aby owdowiawszy razem z nią poszła resztę życia w klasztorze poświęcić Bogu. Jolanta godziła pobożność swą z obowiązkami.

Trzy córki wyrosły u boku troskliwej matki, wychowane skromnie i pobożnie.

Książę Bolesław, gdy mu dawały spocząć Brandeburczyki, a mógł posiedzieć trochę na Kaliskim zamku — prawdziwie był szczęśliwy. Wojak nie stracił prostoty prawie dziecięcej. Siadał z żoną i dziećmi u komina, bawił się rozmową z niemi i służbą, śmiał się i rozkoszował życiem jakby prostego ziemianina.

Nie jeden zamożny panek może, więcej nad niego sadził się na przepych, na stół i suknie. Książę Kaliski drugim pozwalał się tem bawić, sam nie potrzebując żadnego zbytku.

Skarbiec był dostatni, ale też z niego córki trzeba było wyposażać i rycerstwo opłacać, dla siebie zaś oboje księstwo tak mało potrzebowali, iż go wcale nie trwonili. Każda zaś wyprawa łupem zdobytym go pomnażała.

Księżna Jolanta, wyjąwszy dni świąteczne, i gdy goście na dwór zjechali — nosiła szaty wełniane, szare, klejnotów nigdy, zasłonę białą na głowie. Dziewczęta chadzały w białiznie, albo zimą w prostych sukniach wełnianych, Książę w swoim kożusku, podpasany rzemieniem, jedwabiu nie wkładał, chyba na wielkie święto do kościoła, dla Boga nie dla siebie i ludzi.

Rozumie się, że przy takim pann i dwór bardzo się stroić nie mógł, choć mu z tem czasem bywało markotno, gdy który z powinowatych książąt

nawykły do zbytków niemieckich, na dwór zajechał.

W Kaliszu rzadko dobywano sreber i złocistych naczyń, lub opon ze wschodu przywiezionych, chyba na uczczenie jakiego dostojnika kościoła, lub na uroczystość domową.

Gdy książę Bolesław zmuszony był przybrać się i nawieszać łańcuchy na siebie, chodził w nich jak w kajdanach, zrywając te więzy co najrychlej.

Oboje księżtwo pobożni byli bardzo, co nie przeszkadzało im powszednie życie mieć w pamięci.

Kapelan, który razem kancelarskie pełnił obowiązki, ciągle był u jego boku. Niekiedy drugi pobożny staruszek kapłan go wyręczał. Miał Wojewodów, Podkomorzych, urzędników dworu, ale ci jak przyjaciele domowi stali przy nim. Padać przed sobą nie dawał Bolesław nikomu, poufalszych najwięcej kochał, kłamstwem choć dla poczczenia się brzydził.

Miał przy tem książę różne zamięrowania ziemianina. Konie i stada swe lubił, o urodzaje u ludzi pilno się dowiadywał, z prostemi zagrodnikami rozmawiał i żartował, jakby mu równi byli. Nieraz ubogiego dziada na drodze spotkawszy, wiódł go z sobą, śmiejąc mu się i wyzywając na gawędę.

Miał to szczęśliwe usposobienie, że wesołym rad był być, czoła dla powagi nie chmurzył.

Posępnych też ludzi podejrywał, iż chyba złego coś na myśli mieć musieli.

W ostatnich latach, Bolesław mało zażył spoczynku, bo go szczególnie Brandeburecyki napastowali.

Zmarła była matka Przemysława Pogrobka, nad którego spadkiem czuwać musiał jak nad własną ziemią. Ledwie Santok spalili umyślnie, aby się nie dać w nim niemcom zagnieździć, ledwie Pobożny trzy zameczki na granicy założył dla obrony, już Brandeburecyzy odbudowali twierdzę nadgraniczną i Suliniec jeszcze wzniesli, aby w nim zasiadłszy się czatować.

Suliniec tedy odbierać im trzeba było, a że go rozpaczliwie broniono, szli polacy jak mostem tarczami okryci pod świeże jego ściany, toporami odbili glinę z nich i podpaliwszy, dopiero opanowali.

Dostał się Sas Sabel w niewolę, ale Santoka odebrać nie udało się. Następnego roku znowu Santockie trzeba było niszczyć, aby Brandeburczykom i Sasom pokoju nie dać, a do Soldyna po drabinach się dobijać.

Z obu stron napadano się nieustannie, a o ten Santok nie mało się krwi przelało.

Wychowaniec księcia Bolesława Przemysław Pogrobek, którego doma poufale Przemkiem Sierotką zwano, dochodził lat szesnastu.

Chłopię było na podziw piękne, silne, postawne,

żywe i rwało się już z pod stryjowskiej opieki, nie dla władzy — bo dziecko było powolne, ale dla rycerskich popisów.

Książę Bolesław zaś nie puszczał go zawczasie na wojnę, bo obawiał się i kochał go a jedyny u niego był. Wiedział, że młodego puścić na swobodę, najniebezpieczniejsza rzecz. Wstrzymywał go jak mógł — ale w szesnastu latach młodzienszka naówczas od wojny powściągnąć — gdy ta była każdego książęcia jedynem powołaniem — nie mogła największa powaga.

Tym czasem wiosną 1272 roku, znówu ten Santok, aby się niemcy w nim nie zagnieźdзили i nie zagospodarowali — trzeba było albo im wyrwać z rąk koniecznie, lub przynajmniej nie dać im w nim chwili pokoju.

Książę Bolesław sam się już na nich wybierał, gdy majowe powietrze wilgotne, na które się rankiem naraził, spowodziło zimnicę. Zwołano zaraz baby, aby na to radziły, dały mu pić ziele gorzkie okrutnie, zażegnwały, odprawił ksiądz nabożeństwo — a zimnica nie chciała precz. Zawsze łatwiej jej dostać, niż się pozbyć.

Książę na wszystkie cierpienia wytrzymał, że mu to chorobsko okrutnie było nie na rękę, smucił się i niecierpliwił.

Najpiękniejsza pora roku do wyprawy mijała, rozścielały się bujnie zielone trawy, pasza dla

koni była wyborna, powietrze dla żołnierzy ni skwarne, ni nadto zimne.

Wyprawić zaś ludzi bez siebie nie mógł książę, bo go nikt przy nich zastąpić nie umiał. Gdy on wesoły swój, gruby, rubaszny podniósł głos, leciało rycerstwo razem z nim, nie bacząc na nic.

Bądź co bądź tedy, a było to w drugiej Maja połowie, książę już nawet z zimnicą wybierać się był gotów. Mówił, iż miał to doświadczenie raz w życiu, że na konin się dobrze wytrząsłszy i spotniawszy, choroby pozbył pośród wojny.

Księżna Jolanta, która mu nigdy w niczem na zawadzie nie stawała, opierać się nie śmiała, ale niespokojną była.

Pięknego wieczora majowego siedzieli w podsieniu zamku Kaliskiego, Bolesław, Jolanta i córka jej najmłodsza.

Gród ten, choć na owe czasy dosyć warowny, wspinałym wcale nie był. Dworce w większej części stały z drzewa budowane i nizkie.

Książę właśnie w kożuszkę za stołem siedząc, winem ciepłym korzeunem na zimnicę sobie radził, księżna mając córkę u boku, zdala cicho z nią rozmawiała, gdy pachole dworskie wbiegło z radosną twarzą, oznajmując, że z Poznania jechali goście.

A że Przemka Sierotkę kochali wszyscy, radość wybuchła wielka.

— Mów, gość a nie goście! — zawołał książę

do chłopca, który stał z oczyma wesołemi, pewien, że mu za nowinę będą wdzięczni.

I kubek na stole postawił.

— Ależ goście, proszę miłości Waszej — dodało chłopię — bo nie sam książę Przemko, a no z nim dużo jakichś panów.

Księżna Jolanta wstała trochę niespokojna, spoglądając na męża.

— Przemko bo lubi — odezwał się książę — aby koło niego było świetnie, ludno, błyszcząco, musiał już sobie dwór pański przystroić, a temu się zda, że nie sam jedzie!

I wyszedł książę na spotkanie pod drugie drzwi ku podwórcom, gdy goście właśnie z koni zsiadali.

W istocie orszak był ludny i świetny.

Na czele jego jechał młodzieuchny, szesnastoletni, już bujno wyrosły, z długimi włosy złotawemi, z niebieskimi oczyma, zręczny, gibki, silny, dziwnie pańsko patrzący z góry Przemko.

Można mu było lat dać więcej, niż ich miał w istocie.

Bródka i wąsy już mu się wysypywały, a nie-
tknięte jeszcze, okrywały jakby puszką zło-
cistym ładną jego twarzyczkę, wesoło się uśmie-
chającą.

Chociaż w podróży, książę miał zbroję sta-
lową, bogato wysadzaną i złoconą, ubranie ob-
ciste, pas błyszczący, nożyk u pasa jak cacko,

ostroggi złocone, a na jednym ramieniu płaszcz lekki, ciemno czerwony ze złotem.

Widać było, że się przystroić lubił, że dbał o to co miał na sobie.

Hełm też w pasy złocone, skrzydłami błyskał w kamienie sadzonemi.

W stroju tym, Przemko tak był w istocie piękny, tak wyglądał pańsko, iż spojrzawszy nań, stryj ręce podniósł, dobroduszuie wołając:

— Toś mi pan! toś mi piękny!

I po otaczających powiędłszy wzrokiem, przekonał się, że chłopię słuszność miało, bo nie sam przybywał Przemko, ale z paradą i dostojnemi gośćmi, jakby w uroczystem jakimś poselstwie.

Na koniu okrytym obok jechał poważny mąż, także odziany i zbrojny jak na gody, Przedpełk Wojewoda Poznański, za nim Mścibór Kasztelan, i trzech ziemian starszych, dalej Nałęcz Pawłek i Zaręba Michnem zwany, co się razem z księciem wychowywali.

Wszyscy oni na wzór pana byli poprzyodziewani świątecznie, bo Przemko lubił i wymagał, aby koło niego wszystko pięknie wyglądało.

Tej prostoty obyczaju, jaką miał stryj, nie nauczył się od niego — a i po ojcu zamiłowania tego w blasku odziedziczyć nie mógł, bo Przemysł stary, pan pobożny, co noce spędzał na modlitwach, także się w przepychu nie kochał, ani

matka nieboszczka Elżbieta wagi do niego nie przywiązywała.

Jak się to często zdarza, wziął może po pradziadach skłonność tę Przemko, lub mu ją dała krew gorąca i fantazja młodzieńcza.

U niego wszystko co go otaczało, aż do najprostszej czeladzi, strojne być musiało. Konie też pobrzękiwały i polyskiwały, a na głowach ich kity sterczały i na piersiach chwośców było pełno i blaszek.

Cały orszak wielkopolskiego księcia polyskiwał i błyszczał. On sam żywo z konia skoczywszy, hełm zdjął i do stryja podszedł uniżenie, pokornie się kłaniając, a po rękach go całując.

Ten oburącz go chwycił za szyję i ścisnął jak własne dziecko, a gdy Przemko głowę podniósł, z rozkoszą mu się przypatrywać począł.

— Szesnaście lat! Młokos! — zaśmiał się — a takie to już wybnjałe, zmężniałe, jak gdyby miał dwadzieścia! Co ci tak pilno!

— Pewno! pewno, pilno mi, stryju kochany, pilno! — odparł Przemko wesół — już bym w pole rad! Czas! Moi wszyscy w tych latach co ja, już się ucierali, a ja muszę z kapelanem czytać i w dziedzińcu do tarczy oszczepem ciskać, gdy mnie świerzbi dłoń użyć go na tych Sasów, lub ..

— O! będziesz tej zabawki dosyć jeszcze

miał — westchnął Bolesław. — Niemców się nie przebierze tak prędko! Zaczekaj!

Przerwał mowę Wojewoda Przedpek, przystępując dla powitania.

Spojrzał nań Bolesław i uprzejmie go pozdrowił, a potem innych przybyłych z synowcem witał poufale uśmiechając się do nich, całą tę staruszyzną pociągając za sobą, do dworu.

Że w izbach duszno było, zasiedli znowu w podsieniach, gdzie już księżnej Jolanty nie było. Staruszek tylko ksiądz Malcher, stał na uboczu.

Był to ulubiony obojgu księztwn, pobożny a jak oni łagodny człowiek, spokojnego ducha; pokory wielkiej, która przy świętobliwości zdala się ubłogosławieniem.

Przenko postąpił ku niemu, aby go, jak należało, w rękę pocałować, a staruszek pobłogosławił go z rozrzewnieniem.

Książe Bolesław wnet będzie swą przypomniawszy, począł na zimnicę narzekać.

— Gdyby to licho później choć było przyszło! — zawołał. — Mnie tu potrzeba iść na tych przeklętych zbójów, na Santok, na Strzelce... a ja się do niczego nie zdał. Jeszcze dopóki trzęsie nie dbałbym o nią, gdy zacznie palić lebrzaska, i człowiek sobą nie władnie.

Przenko popatrzył na swego Wojewodę, przemówili do siebie oczyma.

— Stryjn kochany — rzekł — gdyby to nie był grzech i niepoczeiwość wielka, powiedziałbym, że się z tej choroby cieszę. Ziarnica przejdzie, a teraz ona tego dokazać może, iż mnie pozwolicie iść na Santok za siebie.

Książę Bolesław ręce podniósł żywo do góry.

— Nie pozwolę. — zawołał — nie pozwolę! Z temi zbójami nie twoja rzecz się mierzyć, na pierwszą wyprawę ja cię sam będę prowadził.

Przemko się zasępił i obrócił ku swemu Wojewodzie.

— Mówcież wy za mną! — zawołał — mówcie wy!

Wojewoda podszedł krok ku księciu Bolesławowi.

— Miłościwy panie! — odezwał się. — Naszemu młodemu księciu czasby siły spróbować i trudno nam go utrzymać, rwie się strasznie!

— Ale nie pora dlań jeszcze! nie pora! — rzekł książę Bolesław spokojnie. — Kiedy czas ma być, mnie do sądu zostawcie! Jednego jego mamy!

I podeszedł Przemka uścisnąć...

— Stryju miłościwy! Puść! puść mnie! wróciemy cali! Przedpełk mi za kuma do tego chrztu krwi służyć będzie.. Mąż jest doświadczony...

— Nie przeczę! — zawołał książę — ale i ja w kuny nie gorszym od niego!

Wojewoda cofnął się schylając głowę.

— Ja bo sam chciałem cię w pole prowadzić, gdyby nie ta nieszczęsna zimnica! — mówił stary. — A! w poręż ona mnie zlapała! w poręż! Tym czasem Sasy i Brandeburgi okopują się, pale biją, zamki klecą a coraz mocniejsi się stają.

Dać się im tu osiedzieć! później trudno będzie wykurzyć... Ze spoczynku korzystają, a tu wiosna, a tu pasza, a tu ludek wypoczęty!!

— Skińcież tylko! pozwólcie! na miłego Boga! My z Wojewodą ruszyc jntro!

Na to właśnie wszedł Jan Janko, kasztelan kaliski, poufały księcia, przyboczny sługa i przyjaciel, mąż jak on nie młody, ale zawiędły, krzepki, twarz spalona, aż brunatna, w marszczkach cała, włos przerzedzony, ramiona szerokie, piersi duża, nogi krótkie i jakby przegięte od konia.

Odzież miał domową, prostą, jak książę, dla tego może kwaśno się ogładał po strojnym dworze młodego pana.

— W poręż mi przychodzisz — zwrócił się do niego Bolesław — ty, stary mój! pomożesz mi! Ten młokos, patrzaj go, wyrzywa mi się. Słyszysz? chce mu się na Santok!

Jancko zadumany spójrział na Przemka i na Wojewodę, ale co miał wziąć stronę swego pana, ramionami ruszył.

— A! no! — zamruczał — książę pan został byś z zimnicą doma, a my z księciem młodym

i Wojewodą ruszylibyśmy Sasów nastraszyć. Czemu nie?

— To i ty, niegodziwy zdrajco, przeciwko mnie? — rozśmiał się zafrasowany książę.

Skłonił się kasztelan.

— Wasza miłość przebaczy, staremu słudze wydaje się, że to by było nie zgorzej.

— Bezemnie się obchodzić! — dodał książę.

— Z Waszą miłością byłoby nam lepiej — odezwał się prawdomówny przyjaciel — toć pewna! ale jak nam książę pojedziesz słaby, a będziemy go musieli w drodze strzedz? to nas niemcy strzepią!

Książę Bolesław obejrzał się do koła, a Wojewoda poznański dodał:

— Naszemu panu, daj Boże zdrowie, juści też pora skosztować pola... A od czegoż my we dwu z kasztelanem? Strzedz go będziemy lepiej niżli oka w głowie, bo każdy z nas by zań oboje oczów oddał.

— Stryju! — odezwał się Przemko podchodząc ku niemu i śmiejąc się wesoło — byłeś mi zawsze ojcem, bądźże dobrym i laskawym... Mnie już wnętrzości goreją, aby raz w pole wyciągnąć!

— Na te pierwociny jam właśnie sam chciał być z tobą — rzekł stryj smutnie — a ty mi się wyrwasz! Należy mi się do twojego rycerskiego pasa podać ci samemu rękę, kiedym cię chował

i chuchał nad tobą. Ty niewdzięczny dla pośpiechu i mnie się wyrzekasz!

Przemko aż pokląkł przed nim i ręce złożył.

Stary skłopotany, przysunął się ściskając go milczący. — Nie odpowiedział nic. Sprawa młodego zdawała się wygraną, ale słowo stanowcze wyrzeczone jeszcze nie było.

Wojewoda i kasztelan stali milczący spoglądając na księcia, który zadumał się i coś jak łzę otarł z oka.

— Ale boś ty mi jedyny! — rzekł powoli i łagodnie. — Strach mi o ciebie. Przy moim boku bezpieczniejszym byś był.

— My go też nie spuścimy z oka — zawołał Janko czule. — Waszej Miłości potrzebny spoczynek... Choróbsko to na wyprawę, gdzie trzeba w polu na rosie spać, nie mając się gdzie ogrzać, a uznoić, a znużyć.. to najgorsze utrapienie! Z zimnicą w pole iść nie można, a w pole ciągnąć musimy... Niechaj młody pan poprobuje!

— Niech probuje! — wstawił się Wojewoda Poznański.

Drudzy zdala stojący poczęli też mruczeć prosząc za nim.

Bolesław stał w niepewności, wahając się i raz jeszcze uściśnął chłopca.

— A! a! — mówił — ja bo na tej twojej głowie wszystkie przyszlności złożyłem nadzieje! Śmieje

mi się na niej więcej niż książęca czapka...
Kto wie? odrodzona korona może!..

Przemko się zarnmienił, oczy mu się zaiskrzyły,
wtem Bolesław nagle umilkł, spuścił wzrok ku
ziemi, posmutniał.

— Wola Boża! wola Boża! — szepnął cicho.
Niech będzie jako pragnie i jak wy żądacie, ale
strzeżcie go! strzeżcie!

Przemko upadł na kolana i natychmiast porwał
się rękę podnosząc do góry, zwrócony ku swoim.

— Wojewodo! Kasztelanie! — krzyknął pod-
niesionym głosem, który brzmiał radością i zwy-
cięstwem. — Na Santok! Na Santok.. choćby
dziś jeszcze!!

II.

W kilka dni po tem, książę Bolesław sam znowu ze swą zimnicą i starym ks. Maleherem, siedział na Kaliskim zamku, szerzej niż zwykle wiosenną wodą Prośny oblanym.

Przemko z Wojewodą i Kasztelanem, dodaniem mu za opiekunów pociągnął na Santok. Stryj miał się czem niepokoić. Chłopię to było jego marzeniem, nadzieją przyszłością. Bolesław w myśli swej budował na niem przyszłe odrodzenie kraju.

Chciał go mieć rozumnym, pobożnym, mężnym, wstrzemięźliwym, miłość i poszanowanie u ludzi umiejącym sobie pozyskać.

Około wychowania sieroty, wedle ówczesnych pojęć o niem, książę chodził bardzo troskliwie, najlepszych, najzdolniejszych ludzi przydając mu

do boku. Tylon kancierzem był razem i nauczycielem młodzieńca, Wojewoda Przedpełk uczył go rycerskiej sprawy i obyczaju książęcego.

Oba mężowie stateczni nie spuszczaali go z oka, kształcili tak, aby nadziejom stryja odpowiedział. Często też Bolesław brał go do siebie i nauczał sam, ale za miękkim się czuł dla niego i długo nie trzymał. Kochał go nadto, więc mu po-
błażał.

Rosnąc tak Pogrodek na przeszlicznego wy-
bijał młodziana, któremu nie zarzucić nie było mo-
żna, oprócz, że w nim zawczasie gorąca krew
Piastowska grać zaczynała..., którą w innych
ledwie najpobożniejsze ówczesne niewiasty, po-
mować mogły i poskromić.

Ciągnęły go już nad miarę, wdzięczne liezka,
a choć mistrzowie do zbytku surowcami nie byli,
choć Tylon patrzył na to przez szpary, niepokoili
się trochę tą zawczesną dojrzałością.

Księża niebacząc na to, że miał zaledwie lat
szesnaście, już go żenić chcieli. — Wojewoda nie
był też od tego.

Pociągalo to za sobą usamowolnienie, a choć
książę Bolesław nie był zazdrosnym władzy sy-
nowca i puścił by mu chętnie co trzymał pod
opieką — lękał się, aby gorącością młodzieńczą
nie popsuł, co on z wielkim trudem mu zabez-
pieczał.

Teraz, gdy go już puszczoło w pole, na wojnę,

szły za tem następstwa konieczne, trzeba go było żenić i wypuścić na wolę.

Książę Bolko więcej myślał o tem, niż o swojej zimnicy, którą pora wiosenna i błotniste zamku okolice sprowadziły.

— Książę Malcherze, — mówił do staruszka — mężu dobrej rady — powiedz mi, poradź mi, co poczynać z tym kochanym Przemkiem? Poszedł już w pole! Niech go tam Bóg uchowa całym! Wojewoda i kasztelan ręczyli mi głowy swojemi, że go nie odstąpią.

Młodość zawsze zbyt gorącą bywa. Da Bóg, powróci — trzeba go będzie wypuścić na swobodę.

Ks. Malcher począł z cicha.

— Tak należy. Wasza Miłość za żywota swojego właśnie cugli mu popuść, zobaczysz, jak wolności zażywać będzie. Sposób to najlepszy. Zapędzi się zadaleko — to go swą powagą powstrzymacie. Gdyby później, nagle całą wolę oddzierzał, nie wypróbowałszy siebie — mógłby się nadto rozbrykać.

— I to prawda! — rzekł Bolesław. — Rad bym go wodził i z oka nie spuszczał. Wojewoda donosił mi, że na niewiasty już rzuca nadto pożądliwemi oczyma — więc go i żenić trzeba...

Książdz potwierdził wniosek.

— Młodyć jest bardzo, — dodał, — ale we-

dle rady Ś. Pawła, lepiej by się ożenił, niżby gorzeć miał.

— Z wyborem żony łośka niemala — westchnął stary książe. — Niemieckich dziewczek na seciny jest, któreby nam chętnie dano dla niego, ale patrząc na Słazko i na innych naszych, którym za żonami niemcy dwory poobsiadali — niemki nie chcę. Rusinka mi też nie do smaku, bo dumne są i samowolne... dalej szukać trudno.

Wzdychał biedny opiekun ciężko.

— Byle pobożna, światobliwa niewiasta była — zamknął ks. Malcher.

— Takich jak moja w świecie mało — odezwał się Bolesław — zaś świętych jak Jadwiga, Salomea i Kinga dla Przemka nie chcę, bo mu potomstwa trzeba. Prostemu człowiekowi łatwa rzecz ożenić się byle niewiasta do serca przypadła, a dziećciowi ziem znacznych, na wszystko zważać trzeba.

Ks. Malcher słuchał z uwagą, lecz nie odzywał się już, w politykę mieszać nie chcąc.

— Jedną z moich dziewcząt byłbym mu swatał — mówił Bolesław — choć powinowactwo bliskie, ale wick nie przystał i rachuba była nie dobra. Po mnie on i tak Kalisz zabierze, a trzeba mu innej coby albo ziemię, albo nadzieję dziedzictwa przyniosła.

Wzdychał staruszek gorzkie ziele popijając, które przed nim stało, krzywił się i spluwał.

— Nie mało, księżę mój, troski z tym synem przybranym, więcej niż z dziećmi własnymi.

Żony mu teraz potrzeba rychło, aby dziewczki nad nim nie przewodziły, co zła rzecz i grzeszna. Rok jeszcze jaki przebrykać może swobodnie, dalej go do domu przywiązać trzeba, aby i ziemiannom ich niewiast nie balamucił, lub jak Mostwin mniszek po klasztorach nie szukał; i gorszej jeszcze obrazy Bożej się nie dopuszczał.

Nawzdychawszy się książe, wstał i począł przechadzać. Załedwie wyprawa na Santok poszła, coraz się nią moeniej niepokoił. Pilno mu było dostać języka.

— Sasy te, — mruczał do księdza się zbliżając — biją się wświekle.. W pierwsze pole na nich iść, guza można napytać. Żłem zrobił, że na nich Przemka puściłem, na Litwę bezpieczniej było; — ale wstrzymać takiego w ukropie kapana? sposobu nie było.

— Bóg łaskaw — rzekł starowina uspokajając...

Dzień tak minął jeden, drugi i trzeci; rósł niepokój straszny.

Bolesław gniewać się już chciał, że mu ani Janko jego, ni Przedpek nie znać nie dawali; kazał im przecież mieć gońców pogotowiu.

Milezen e uparte zle myśli nastroczało.

— Któż wie, — mówił książe dnia trzeciego — te lotry Sasy, przebiegli ludzie, mogli się zawczasu

dowiedzieć o wyprawie i uczynić na nich zasadzkę!!

Ksiądz staruszek i księżna Jolanta próżno się go uspokajać starali. Słowa ich pomagały mało. Zabierał się już stać za wojskami, tak go gryzło, iż nie o Przemku nie wiedział.

Rozważniejszy ksiądz Matcher bardzo dokładnie obrachowywał panu, iż przy największym pospiechu, wiadomość żadna przyjść tak prędko nie mogła. Nic i to nie pomagało.

Wyrzucał sobie stryj, iż nierozważnie młokosa puścił.

— Gotów Wojewodę swego i mego Kasztelana opętać, a do jakiego szalonego namówię kroku — gderał. — Santok ten dla nas zawsze był nieszczęśliwym. Brałszy go, brali i wzięcie mogli, a co krwi kosztował...

Dopiero dnia czwartego nadbiegł goniec od Poznańskiego Wojewody z pozdrowieniem i wiadomością, że nigdzie nieprzyjaciela spotkać nie mogli, bo się wszystek po zamkach i gródkach pozamykał. Wtargnęli w Santockie, pustosząc je, ale bić się z kim nie było i młody wojak narzekał...

Sasi zawczasu pomiarkowawszy, iż siloni połączonym Bolesława Kaliskiego, Ziemomysła Kujawskiego, który też im wysłał posiłki i Poznańskiego Przemka, nie podolają — skryli się do

miejsce obronnych, dopóki by nawąła nie przeszła.

Młody książę z meztwem swem na popis wyjść nie mogąc, rozpaczal. Bolko wieść o tem odebrawszy. gońca nazad odprawil z krótkiem słowem.

— Nie chce się Brandeburczyk bić, kraj mu obrócić w perzynę, wykurzycie go z jamy!

Wieść tę odebrawszy stary odetchnął, mniej się już lękając o nkochanego synowca.

Łowy to już były i plądrowanie a nie wojua! Niebezpieczeństwo młodemu nie groziło.

W ciągu całej tej wiosennej wyprawy, co dni kilka przychodziły wieści, zawsze jedne, że Santockie niszczone i łupy brano ogromne. Odwet to był konieczny, ale nie bój, którego się lękał stary. Nim się skończyło uganianie, zimuica księcia Bolesława przeszła z cieplejszemi dniami, stary ozdrowiał, a że się o synowca nie lękał, i dobra myśl mu wróciła.

Nie upłynęło niedziel kilku, gdy przodownicy pędzący trzody i niewolnika, zjawili się w Kaliszu. Wojska wracały zwyciężkie.

Wojewoda Poznański ze swą częścią łupu wprost poszedł do domu, Knjawscy też. Przemko z Jankiem Kasztelanem kaliskim, jednego wieczora przybył na zamek.

Stał już u wrót książę Bolesław czekając na umiłowanego, który skoczył z konia witając go równie serdecznie.

— Chwała Panu! powracasz cały! zwyciężko! odezwał się stary rozjaśniony i wesół. — Chwała Panu!

— A mnie zwycięztwa tego wstyd! — odpowiedział Przemko. — Miel śmy do walczenia ze starcami i babami... — trzeba było tylko palić i niszczyć! Łupu jest dość, pociechy żadnej — Gdybym nie uprosił Wojewody, abyśmy Soldyna dobywali koniecznie, żołnierza bym nie widział.

Twarz się Przemkowi zapalała, gdy mówił.

— O! okolo Soldyna mieliśmy co robić — ciągnął dalej — Zameczek, prawda, nie zbyt warowny. ale załodze przyznać trzeba, iż się tego bronić umiała. Naszych też widzieć trzeba było gdy się na ściany drapali, bo inaczej, jak po drabinach nie bylibyśmy ich dostali...

Naspadało dużo, nazabijali wielu, ażeśmy ich przemogli, wdarliśmy się na gród i zburzyli do szczętu.

To mówiąc obrócił się za siebie, chcąc wskazać stryjowi niewolników niemieckich, których mu wiódł wraz z dowódcą, — Bolesław zaś nie chciwy tego widoku, a młodego wychowanka pragnąc mieć co rychlej, pociągnął go z sobą do izby.

Tu posadziwszy przy sobie, sam wojak namiętny, badać go dopiero począł, ażeby zobaczyć co się w duszy młodego działo.

Pierwsze łowy, pierwsza wojna, pierwsza mi-

łość — pierwociny życia, zawsze upajają młodych. Przemko też zdał mu się pijany tą wyprawą.

Wszystko w niej wydawało mu się osobliwe, szczególne, piękne — słowa z ust lały się potokiem.

Uśmiechał się stryj słuchając.

Zimniejszy daleko kasztelan kaliski stał, potakiwał choć zapалу tego nie dzielił. Dla niego przejście kraju nieprzyjacielskiego ogniem i mieczem było rzeczą tak zwyczajną, iż o niej mówić nie było warto... On razy tyle przeszedł już ze swemi i Santockie i całe pogranicze Marchij Brandeburskiej.

Z dumą ukazywał Przemko na zbroi ślad pchnięcia i razów, które przy zdobywaniu Soldyna otrzymał. Wolał by był ranę cięższą, krwawą, lecz nie poszcześciło mu się.

Za stołem u wieczerzy, nie było o niczem mowy, tylko o zwycięskiej wyprawie, udziale w niej Kujawiaków i Poznańczyków, i o tem jaki łup się dostał komu.

Nawet najmniej chciwy wódz, jakim był książę Bolesław, pragnąc musiał zdobyć, bo ona żubożała i trwożyła nieprzyjaciela.

Dla spoczynku chciał Bolesław zatrzymać u siebie synowca, lecz ten mu się, jak nigdy, z niecierpliwością wyrывał wielką. Nad dzień jeden nie mógł się nim pocieszyć.

Nigdy jeszcze takim rozgorzałym, nie wi-

dział młodego, tak razem szczęśliwym i niespokojnym.

Przypisywał to urokowi pierwszej rycerskiej wycieczki.

Trzeciego dnia przed świtem, unikając gorąca, wyniósł mu się Przemko, a stary zajął się podziałem i rozdaniem spędzonych trzód i zabranego niewolnika.

Łup był znaczny nie tak ze zdobytego zamczysku, jak ze wsi i zagród splądrowanych nie-
miłosiernie obyczajem wieku. Gnano ogromne stada bydła, owiec, koni, szły wozy pełne odzieży, sukna i płócien, a za nimi szli powiązani łykami i sznurami, jeńcy, których w oddalonych od granicy miejscach osadzano pod dozorem lub na zamkowe oddawano posługi.

Na samą rubież od Marchij brandeburskiej, w jednym z zamczków pobudowanych przez księcia, zwanym Niesłusz, siedział naówczas na straży jego, osiwały w wojnach Krzywosąd, jeden z Bolesławowych ulubieńców. Wielkiej tam pilności było potrzeba, nieustannego czuwania; zdziwił się więc mocno książę, gdy go ujrzał przybywającego do Kalisza w kilkanaście koni.

Ułaski się, czy mu Sasi gródka nie wzięli, mszcząc się za spustoszenia ale Krzywosąd przybywał nie potłuczony, w całej zbroi, z jasną twarzą.

— A cóż ty mi stary przynosisz? — zawołał

Bolesław pokłon przyjmując. Tameś ty w Niesłuszu potrzebniejszy niż tu. Ściany z chrustu gliną lepione, licha warte, a ty tam murem i ścianą.

Krzywosąd śmiał się ocierając uznójone czoło.

— Niema niebezpieczeństwa, — rzekł — po tej wyprawie Brand burczyk posiedzi cicho... Ja za sprawą pewną do Miłości Waszej.

— Co za sprawa?

— A to, o tę dziewczkę dowódcy ze Soldyna — odezwał się Krzywosąd — co ją razem z innemi w niewolę zabrano. Stryj i matka ofiarują okup znaczny. Do mnie się z zakłęciami wielkiemi udali, abym ją odzyskał.

— A gdzież ta bianka jest? spytał książę.

— Musielić ją tu przywieść, bo ze wszystkich jeńców najcenniejszą była — rzekł kasztelan. — Dziewczyzna lat piętnaście i piękna bardzo, ojciec pokumany był z Margrafem.

— Spletli ci baśń — odparł stary książę, — bo ja tu o żadnej takiej dziewczce niewiem...

— Przecież jej by nie zabili, ani by się mogła ukryć?

Kazał książę zawołać kasztelana Janka, który się wkrótce zjawił. Spytany o brankę Soldynowego dowódcy córkę ramionami poruszył.

— Ja o niej niewiem! — rzekł.

Mówił jednak tak jakoś, że mu uwierzyć było trudno. Bolesław popatrzwszy nań. podumawszy,

Krzywosądowi kazał iść spoczywać i jeść, a sam na bok szedł ze swym kasztelanem.

— Co się z tą niemką stało? naparł go. Ty wiesz?

Janko pomilczał trochę...

— Pono Przemko ją swoim kazał wziąć i jak oka w głowie strzegąc, aby palcem jej nikt nie śmiał tknąć, do Poznania prowadzić. A zagroził gdyby się jej co stało, że na gardle ukarze.

Bolesław namarszczył się i zakłopotał.

— A widziałeś ty ją! — spytał.

— Jakże nie! — rzekł Janko, — ojciec jej bronil tak zajądł, że gdyby z tyłu pochwyciwszy go nie rozbroili, dalej się był pewnie za nią rozsiekać.

Dziewka młodzińska, piękności osobliwej, śmiała jak ojciec, bo też z nożem się uwijała, aż jej go z rąk wyrywać musiano i kilku pokaleczyła... Co za dziw, że młodemu w oko wpadła!

— Młodość, głupstwo! — odparł książę.

— Żeby ją tak zaraz miał za okup dać, nie myślę — rozśmiał się Janko — prędzejby sam jeszcze zapłacił. Niemiecka dziewczyna, biała jak kołacz pszenny, włosy złote a oczy czarne... Urodziwa...

Książę stary posmutniał słuchając. Wieczorem Krzywosąda wziął do komory swej.

— Jeżeli się o Niesłusz nie boisz, — rzekł — jedź wprost do Poznania, a dziewczkę odbierz. Sam

bym za nią zapłacił, aby mi Przemka nie opanowała... Młody jest — co się tam stało — na to niema rady, -ale jak do niej nawyknę a przyłgnie — popsuje mi się. Odbierz mu ją gwałtem... Wracaj do mnie z tem, bom frasobliwy co się stanie...

Nazajutrz Krzywosąd jechał już do Poznania, a w kilka dni był z powrotem. Zobaczywszy go książę, podszedł żywo z pytaniem.

— Masz brankę?

— Nie dostałem jej. Nikt o niej niewie — mówią, że niema żadnej.

— Cóż się z nią stało?

— Różnie mnie uwodzili, że zbiegła nocą, drudzy, że po d odze głodem się morząc zmarła.

Mówił to Krzywosąd a z twarzy mu patrzyło, że sam temu nie dawał wiary.

— A ks. Tylon, a Przedpełk? ci wiedzieć muszą co się z jeńcami stało?

— Ni „eden, ni drugi niechcą wiedzieć o niczem. Ramionami zżymają, rękami rozkładają, i milczą.

Dziewkę może gdzie schowali, a wydać jej za największy okup nie myślą.

— Przemka pytałeś?

— Wiedział z czém przybyłem, i sam o to zagaił. Odsyłał mnie do drugich, i tyłem widział, że pozbyć mnie się chciał co rychlej.

Tu Krzywosąd pomilczawszy, dokończył.

— Nie taka to wielka rzecz jedna niemiecka dziewczyna, aby za nią czynić pogonie. Jestli gdzie, pewnie na wierzch wypłynie...

W wojnie jeńców się nie doliczyć, a po drodze zawsze ich nie stanie tylu co było w łykach.

Krzywosądowi pono ta jazda i tropienie już się naprzykrzyło, rad był do Niesłusza wracać i księciu radził, aby go nie strzymywał dłużej, bo choć czuł grodek bezpiecznym, wszelako — djabeł i Brandebureczk nigdy nie spią!

I o brance potem słyhać już nie było.

Baczny opiekun miał jednak swych donosicieli na dworze w Poznaniu. Nic tam baczności tego nie uchodziło.

W miesiąc potem wiedział na pewno, iż niemiecka branka na zamku siedziała ukryta, a Przemko w niej rozmiłowany był strasznie, o wszystkim dla niej zapominając. Wojewodzie Poznańskiemu, który go o to upominał, surowo odpowiedział młody książę — aby mu się do tego nie mieszał i ks. Tylonowi wyrzutów sobie czynić nie dał.

Bolesław nie wiele myśląc, sam wybrał się do synowca.

Ilekróć do Poznania przybywał, znany z pobożności i łaskawości dla duchownych książę Kaliski, Biskup, kanonicy, zakony i co było dostojniejszych, przyjmowali go uroczyscie.

Sam Przemko też szanował go i kochał, więc wybiegał na spotkanie i gościł go jak ojca.

Tym razem przyjazd nastąpił tak niespodzianie, iż nikt nawet przeciw niemu wyjechać nie miał czasu. Książę wysiadał już w podwórzu, a nikogo, oprócz dworu, do przyjęcia go nie było.

Wybiegł synowiec nie rychło, w ubraniu nie rycerskiem ale dworskiem, strojny i uśmiechnięty a po raz może pierwszy widokiem opiekuna zmięszany, jakby przelekkły do izb go wprowadził.

Bolesław bacznie wszystko zważał, lecz miłość mu pomiarkowanie dawała, i nie dawał poznać po sobie, co w myśli miał.

Wiedział, że się tu źle działo, lecz przebojem iść przeciwko temu lękał się, aby gorzej jeszcze nie było — i, żał mu może było chłopaka.

Na wieczrę już się mieli czas zebrać wszyscy na zamek, ludzi było dosyć.

Siedzieli za stołem, oprócz Przedpełka Wojewody, Mikołaj łowczy poznański, Blizbór sędzia, Petrek z Prędocina, Gniewomir podsędek, Tylon kanclerz i innych wielu.

Kaliski książę zdał się być dobrej myśli i ozwał się do synowca żartobliwie.

— Nie wiesz pono ani się spodziewasz z czem ja przybyłem do ciebie. Oprócz miłości mej, dla której zawsze cię rad widzę, sprawa nie małej wagi.

Wszyscy oczy obrócili na księcia. Ten wesolą twarz okazywał, co świadczyło, że sprawa groźną nie była. — Pomilczał trochę aby słuchający zgadując co to było, głów sobie trochę nalamali.

Przemko patrzył niespokojny, nie bez pewnej obawy, która w licu drgała.

— Gdy z was nikt nie odgaduje — ciągnął dalej Bolesław — mużę sam odkryć z czem przybywam. Sądzę, że gniewu nie ściagnę. Ot, swatem przybyłem!

Zarumieniał się Przemko, inni po sobie patrzali.

— Nie byłbym odgadł tego — ozwał się młody książę — bom od Waszej Miłości słyszał niedawno, że mi do małżeństwa było zawczasie. Jeszczem też wojny nie dosyć skosztował, aby odpoczynku pragnąć.

— Prawdać to — rzekł Bolesław — aleś ty u nas jedyny, rodu trzeba, a dlań macierzy. Więc żenić się musisz nie dla siebie a dla nas. Poświadczy ks. Tylon, że ci, których Bóg postawił na świeczniku, nie sobie żyją i nie dla siebie się żenią...

Przemko milczał, dolewał do kubka stryjowi i ręka mu drżała

— Niewiastkę dla was napatrzoną mam — mówił Boiko — właśnie taką jak potrzeba. Musimy na Pomorze się oglądać, aby je odzyskać. Konieczna to rzecz, choćby dla Krzyżaków i Brandeburgów, aby oni go nie wzięli. W Szczecinie

u starego Barwina wnuczka się chowa, córka Kaszuba... Dziewczyna młoda, przez nią się z Pomorzany zwiążemy. Wiem ja, że mi jej dla was nie odmówią.

Gdy to mówił, Przemko słuchał go z oczyma na stół zwróconemi, lice mu się wcale nie rozjaśniało.

— Wziąłem o niej wiadomość dobrą — ciągnął dalej stryj — dziewczeczka piękna, młoda jak potrzeba dla ciebie. Wiano też będzie niczego — a Pomorze nam potrzebne. Stary Barwin zniemczał, ale wnuczkę baby wychowały inaczej.

Wojewoda Poznański pierwszy głos zabrał, chwając wybór księcia.

— Nie ma co na to rzec, tylko dziękować — rzekł — jechać a swaty ślać...

Przemko zmilczał. Było to zagajenie dopiero.

Drugiego dnia już stryj mówił o podróży do Szczecina, jako o pilnej sprawie, do której się zaraz sposobieć należało.

Nie mógł się synowiec sprzeciwić, tylko zwlekał. Stryj w żarty obracał powolność jego.

— Gdy zobaczysz pomorskie dziewczę, jako mi o niej sprawę zdano — będziesz rad dziękował... Najpiękniejszą jest między pięknymi, a lat nie ma jak kłkanaście. Dziad już zawiadomiony czeka... Jechać potrzeba i — brać tylko...

Nie mając się czem tłumaczyć młody książę składał się tem, iż bez pięknego orszaku ruszyć nie

mógł i podarki ślubne przygotować musiał. Ludzie i konie czasu potrzebowali, nimby ich podobierauo.

Na wszystko to Bolesław odpowiedź miał gotową, iż z Kalisza dostarczy czego zabraknie.

Nagił i nastawał tak, że zwlec było niepodobna. A że na zamku poznańskim jak u siebie w domu był, codzień go cały obchodził, weiskając się we wszystkie kąty, opatrując szopy, stajnie, i komory nawet dla czeladzi przeznaczone; miał może nadzieję, iż klatkę odkryje, w której ptaszka niemieckiego chowano. Nie znalazł go nigdzie.

Błądząc tak dnia jednego i do okien zaglądając, zaszedł do ks. Tylona, który przy księciu jako pisarz i duchowny nauczyciel był ciągle i co się na zamku działo, o tem wiedzieć musiał.

Mieszkał on nie opodal od pana swego, w dwu izbach pełnych ksiąg, skór przygotowanych do pisania i wszelkiego kancelaryjnego przyboru.

Człowiek był ze swej notarialnej nauki i wprawy bardzo dumny, próżny i pokłony lubiący.

Nie gardził też i groszem, mówiono o nim, iż dla dzieci brata zbierał go chciwie, nim się jednak miał im dostać, skrzętu nie uciulany zamykając.

Nie bardzo starym był jeszcze, ale pergaminy, z którymi miał do czynienia, odbiły się w barwie twarzy jego żółtej, długiej, pociągłej, zasznurowanej dla powagi, jaką sobie nadać usiłował. Sam tu na dworze uosabiając powołanie władcy pióra i stylisty, nosił się ze swą uczonością wielce.

Dla tych, co mu piękny podarek obiecywali, gotów był świeży wstęp aktu utworzyć, innym dawał jeden z tych kilku, które do wszystkich służyły.

Na jego twarzy nikt nigdy nie widział uśmiechu, a kto mu w poszanowaniu uchybił, nigdy tego nie darował.

Szanował on wielce księcia Bolesława już dla tego, że często dlań szczodrym bywał, już że miał siłę i znaczenie.

Ujrawszy go wchodzącego zerwał się od pulpitu, przy którym zawsze coś miał do czynienia. Trzeinkę położył i z uroczystym wystąpił pokłonem, ręce na piersiach składając.

— Ojciec mój — odezwał się wesoło a dobrodusznie Bolesław — ja do was przychodzę z wyrzutem i na zwiady. Przemko mi coś posmutniał, ludzie plotą, że się do jakiejś dziewczki, branki niemieckiej uwiązał. Czyżbyście o tem nie wiedzieli?

Ks. Tylon rękami uczynił ruch, wstręt i obrzydliwość ozuaczający.

— Nic nie wiem! — rzekł — nic wiedzieć nie chcę. Na oczy moje nie przyszło nic. Uszy moje na gwar pospolitego tłumu są głuche. Nic nie wiem.

Książę się uśmiechał.

— A mnie mówiono, że on ją gdzieś na zamku chowa

— Nic nie wiem! — dobitnie powtórzył Tylon

i podniósł głowę — a prawda li to jest — nie moja wina! Wojewoda, Kasztelan winni, świeckie ramię nie duchowne. Moim obowiązkiem wystawiać mu szkaradę grzechu, obrzydliwość zwierzęcej rozpusty — to czynię nie omieszkując, to czynię — dalej, nie moja rzecz! Sprawa ludzi świeckich!

I rękami potrzasał.

— Wojewoda mówi, że o niczem nie wie — rzekł książę.

Notariusz oburzył się.

— Zatem winien niedbalstwa, opieszałości, gnuśności, ślepoty! Winien jest gdy postawiony na straży nie strzeże, gdy opiekunem będąc, nie opiekuje się. —

Książę Bolesław zapalającemu się przerwał, dając znak, aby zamilkł.

Z poszanowaniem popatrzył na pergaminy i pergaminowego człowieka, który stał jeszcze nachmurzony.

Odetchnąwszy Tylon, rzekł już łagodniej.

— Pozwolicie mi dodać, że tego co być nie powinno czasem najlepiej nie widzieć, lecząc chorobę, jak to W. Miłość czynicie, innemi środkami. Dać mu żonę, to najlepiej, krwi młodzieńczej inaczej nie powstrzymać, nie pohamować...

Wasza Miłość najlepiej wiecie co pomoże, w czas, jak Bóg przykazał, dać mu małżonkę... Ustanie zgorzenie pokątne...

Książę nie odpowiadając na to, wyraził życzenie, aby ks. Tylon towarzyszył Przemkowi do Szczecina i baczną miał oko na wszystko.

Notariusz skłonił się pokornie, znaczącem odpowiadając tylko spojrzeniem. Szczodry stryj za podobne usługi zawsze się czemś wypłacał.

— Sposóbcież się do podróży rychło, — rzekł Bolesław zabierając się do wyjścia, — ja nie ruszę się ztąd, dopóki go nie wyprawię do Szczecina, gdzie nań już czekają. Przywiezie z sobą żonę — wszystko umówione, da Bóg, niemki zapomni...

Z wielką ufnością, że małżeństwo wszystkiemu zaradzi i lekceważeniem całej tej sprawy, ks. Tylon ręką zamachnął.

— Słomiane to ognie! — zamruczał. — W młodości łatwo się one zapalają, ale i gasną prędko... *Caro infirma* — cielsko słabe...

Pokłonił się.

— Sposóbcież siebie i jego do podróży.. — zakończył książę wychodząc.

III.

W czasie pobytu w Poznaniu, stryj na chwilę od siebie nie odpuszczał Przemka, w nocy jednak spać musiał, a choć w komorze sąsiedniej kładł się na spoczynek, tak, że ich ściana tylko dzieliła, śpiący snem twardym książę kaliski nie wiedział o tem, jak mu się nocami wymykał.

W domku na podzamczu pod dozorem starej Krywiechy, mieszczanki, której mąż niegdy służył u dworu, otoczona czeladzią wierną, ukryta siedziała owa niemeczka, która młodego księcia całkiem przykuła do siebie, z niewolnicy stając się panią.

Mina miała zaledwie rok szesnasty, ale była córką żołnierza, wykołysaną we zbroi. Zawcześnie wyrwała się z rąk matki na kolana ojca. Śliczne

dziecko, do którego on był przywiązany bardzo, zastępowało mu syna.

Umilowana, pieszczona, swawolna i zuchwała Saksonka, była na wpół dzieckiem, pół mężczyzną.

Najulubieńszą jej zabawką, było strzelanie z łuku, ciskanie oszczepkami do celu. Krew przełana, nie czyniła jej wcale wstrętu, na śmierć patrzyła nieraz z blizką, obojętnie lub ciekawie. Konia dosiąść umiała jak chłopiec, i wszystkie zabawy męskie lepiej jej smakowały, niż dziewczęce.

Mimo tego obyczaju germańskiego, wyrosła delikatną, piękną jak żadna z rówieśnic, a na zamku w Soldynie, kochali ją wszyscy balwochwalezo. Średniego wzrostu, silna, gibka, z włosami jasnym, czarnymi oczyma, biała i rumiana, miała twarzyczkę dumną dziecka rycerskiego, nie lękała się nikogo i niczego.

W czasie oblężenia walczyła zajadle obok ojca, a gdy ją biorący w niewoli zmogli, kasała ręce tym, co ją wiązali.

Piękność i młodość ocaliły ją od śmierci.

Przemko, który nadbiegł gdy ją wiązano, zobaczywszy dziewczę, cały rozplomieniał dla niej i ze wszystkich zdobyczy jedną ją sobie zachował. Usłudni dworacy ukryli ją przed oczyma Wojewody i Kasztelana. Płaczącą i buntującą się zawieziono do Poznania, a Przemko rychło jakoś potrafił dziewczę uspokoić i pozyskać sobie.

Znała ona prawa wojenne, wiedziała, że się musiała poddać losowi swemu, ale pochlebiało jej, że nie prostemu żołdakowi dostała się, tylko księciu. Przemko młody był, piękny i rozmiłowany w niej namiętnie. Klóćąc się z sobą, rozpoznać tę miłość osobliwą, która miała się skończyć przywiązaniem gwałtownem i brankę uczynić panią.

Mina przerażała niedoświadczonego zuchwalstwem swem, gniewliwością, ale właśnie może takiego charakteru było potrzeba, aby łagodniejszego choć dumnego panka podbić. Widywał tylko niewiasty bojaźliwe, drżące, uległe i bezmówne. Ta miała dlań urok nowy. Rozmiłowawszy się w niej, oszalał młokos. Mina poczuwszy to, korzystała ze swej władzy i już mu się wyrwać na swobodę nie myślała, ale i jemu wyrwać się — nie pozwalała.

Podobało się jej to życie pół księżnej z nadzieją, iż kiedyś może całą księżną zostanie.

Niemka to sobie obiecywała, z pewną pogardą patrząc na pokorne i strwożone niewiasty, które ją otaczały. Była tu panią, rozkazywała, czyniły co zachciała.

Czeladź padła na twarz przed ulubienicą księcia, on sam nie umiał jej nie odmówić.

Gwałtowna miłość młoda, namiętna, rozwijała się wśród kłótni, sporów, dąsań, w których zawsze zwyciężała Mina. St. sunek zrazu drapieżny

stał się później szaleń. Niemka była zazdrosną, Przemko szczęśliwy z tego, nawet gdy go za włosy targała. Pod różnemi pozory raz wraz dobiegał do niej a przesiadywał póki go niemal gwałtem nie wyciągnięto.

Mina, choć jej potajemnie dawano środki do ucieczki, nie myślała z tego korzystać.

Wśród tego szczęśliwego upojenia obojga, gdy nie nie zdawało się im zagrażać, książę Bolesław przybył ze swatami — z rozkazem, któremu opierać się nie było podobna.

Opickun miał władzę i powagę ojcowską.

Dworacy natychmiast o wszystkim Minie donieśli.

Przemko we dnie przychodzić do niej nie mógł, bo stryj miał nań oko, nocami wykradał się tylko.

Gdy trzeciego dnia po przyjeździe Bolesława przybiegł do niej, przywitała go dzikim, złośliwym śmiechem.

— Cóż to? żenić chce was ten poganin Kaliski! ten stary! — zawołała. — Ja tu drugiej nie zniosę, a biada tej co mi się poważy...

Zacisnęła ręce. Przemko objął ją i ucałował, usta zamykając pocałunkami.

— Ty zawsze u mnie będziesz jedyna.

— Coś to ty, niewolnik stryja? nie pan sobie? co on ci tu ma do rozkazywania?

— Był mi ojcem...

— Na co ci żona? Ja nie dam ci z inną żyć i drugiej kochać! Ja tego nie chcę.

A gdy Przemko milezał, dodała ze złością dziecięcą.

— Przyprowadź sobie żonę, przyprowadź! Ja ją zabiję lub struję...

Przemko kłamał dla uspokojenia jej, że małżeństwo to może jeszcze nie przyjsć do skutku, a gdyby go nawet zmuszono wziąć żonę — ona mu niczem nie będzie, zostanie obcą.

Siedzieć będzie zamknięta w osobnych komnatach, a on z Miną żyć jak przedtem.

— Niech mi tu spróbuję przyjechać, choćby królowna — wołała pięści podnosząc zła dziewczyna... — będzie jej tu ciepło! Niech przyjedzie! Wproszę się na dwór na służbę, a usłużę jej dobrze! Prędko jej tu nie stanie!

Książę dawał jej wywoływać tak, nie wiele do słów tych przywiązując wagi, uspokajał ją jak mógł. — Wykradał się potem cicho i wracał na swe łóżce, ciesząc się, gdy słyszał w sąsiedniej komnacie chrapiącego stryja.

Któregoś wieczora, gdy wychodził, drzwi skrzypnęły głośniejsze, Bolesław się obudził. Tknęło go coś, podkradł się zobaczyć czy w miejscu swem spi Przemko i puste namiętał łóżce!

Nazajutrz nie powiedział mu nic, ale coraz mocniej zaczął nalegać o wyjazd do Szczecina. — Książę zwlekał niechętnie, wynajdywał różne po-

wody, aby się to przeciągnęło, w końcu naciśnięty uledez musiał.

Książę Bolesław zaczynał przemawiać surowo.

Dwór dla pana młodego sam stryj wybrał z ludzi poważnych, mężów dostojnych i dziarskiej a statecznej młodzieży, uboższych wyposażając w najlepsze konie, zbroje, płaszcze, pasy, ażeby mu synowice wystąpił świetnie.

We skarben też po Przemyślawie starym, pobożnym, nie zbywało na niczem. Było z czego podarki zawieść i wystąpić.

Jechali z młodym panem, Przedpełk Wojewoda Poznański, ks. Pisarz Tylon, kilku duchownych, Podczaszy, Podkomorzy, Ochmistrz, Łowczy, i młodzieży rycerskiej kilkudziesięciu najśliczniejszej, a we wszystkich sprawach wojennych wyćwiczonej.

Odznaczali się między nią Zaręba i Nałęcz, którzy prawie od dzieciństwa się z nim wychowywali, i nie opuszczali go nigdy.

Należeli oni do dwu rodzin zamożnych, rozrodzonych, które, jak to było w obyczaju, dzieci na dwór pański dawały chętnie, bo tym sposobem można się było nauczyć wiele, dosłużyć i dorosnąć do wyższych godności, a i nadanie ziemi pozyskać.

Zaręba i Nałęcz, słowiańskim prastarym obyczajem, byli sobie na pobratymstwo poprzysięgli,

bo i w Polsce naówczas jeszcze pobratymców znano.

Rówieśnicy prawie Pawłek Nałęcz i Michno Zaręba, oba byli urodziwi, razem się do rycerskiego sposobili zawodu, ale się charakterami różnili bardzo od siebie.

Właśnie to może ich z sobą związało. Zaręba był jak huba zapalny łatwo, ognisty, pyłki, do zwady skłonny, wielomowny, gorączka, prędki i niepomiarkowany, Nałęcz mężny, wytrwały, uparty, ale w sobie zamknięty, i na oko powolny.

Zaręba Nałęczowi dodawał ognia, tamten hamował druba i do opamiętania go przyprowadzał. Jeden bez drugiego nie stąpił, a gdy na dłuższy czas musieli się rozłączyć, tęsknili do siebie ciągle i każdy z nich to mocno odczuwał...

U obu jeden był worek, jedno mienie, wszystko wspólne.

Za nieprzytomnego Zarębę ujmował się Nałęcz, Pawłek też słowem nie dał tknąć przyjaciela.

Znano ich z tego na dworze i przezywano żartobliwie bliźniakami, że się tak bardzo kochali.

Oba mieli siostry w domu i dla bliższego połączenia się, obiecywali sobie na niewidziane pobrać je za żony.

W bitwach jeden drugiego bronił i zasłaniał, choćby życie dać przyszło.

Przemko obu ich dosyć lubił, oni też doń przywiązani byli, ale za pochlebców i zauszników mu nie służyli, bo Zaręba śmiało i rzeźko w oczy panu mówił prawdę.

Traf chciał, że ich obu książę Bolesław dla dobrego rodu i dla rycerskiej powierchowności do orszaku synowca naznaczył. Wybierali się wesóło, dość radzi, że zobaczą nowy dwór i trochę świata.

Wiedzieli oni oba o niemce, ale do tych pokątnych miłostek księciu nie posługiwali.

Zaręba z nich złgo coś wróżył księciu, za co ten gniewny milczeć mu kazał.

Nie sądzili aby się to przedłużać mogło, i, jak się to najczęściej działo, myśleli że niemkę za mąż wydadzą wyposażoną za którego dworaka a książę o niej przy żonie zapomni.

Książę Bolesław w Poznaniu dosiedziało aż do wyjazdu synowca. Nie dowierzał mu, nie ruszył się więc aż go nie zobaczył wyciągającego z całym dworem. Goniec wyprawiony poprzedzał go do Szczecina.

Nazajutrz dopiero, mszy świętej wysłuchawszy w zamkowym kościele, książę kaliski do domu zawrócił, a wielki ciężar spadł mu z serca.

Przemko wyjechał smutny i gniewny, myśląc ciągle o Mnie, którą rozpaczając porzucił, a gdy mu się przy pożegnanin uwiesiła na szyi, ledwie się zdołał wyrwać od niej.

Padła potem rycząc z płaczu na posłanie, przeklinając stryja, synowca i przyszłą księżnę, przeciw której się odrażała.

Przez całą drogę Przemko myślał tylko i z ponurą myślą, którzy go pocieszali, ciągle mówił o niej.

Zaręba jeden gdy o nią zagadnął. lekce sobie ważąc, radził aby lepiej dziewczkę prostą zapomniał, która niczem nie była tylko branką i niewolnicą.

Na dworze w Szczecinie, wcześniej do tego przygotowani, przyjęli młodego pana ze czcią wielką.

Stary Barwin siwobrody, całe jego życie a szczególnie niewieście otoczenie i domowy obyczaj nie były podobne do tych, jakie się wówczas po innych dworach książąt słowiańskich spotykały.

Wprawdzie i tu zakradło się już niemczyzny dużo ale szanowane były podania i zwyczaje przestarzałe, z których tu więcej niż gdzieindziej niewiasty przechowały.

Zamożność była wielka, ale i prostota dawna, umyślnie pielęgnowana, jakiej indziej widać nie było. Dwór się pewną wieśniaczą rubasnością odznaczał.

Zmuszony do stosunków z Niemcami stary Barwin, choć się im kłaniał i sam czasem Niemca udawać chciał, w duszy ich nienawidził. Bolało go tyle ziem utraconych, zagrabionych, oderwa-

nych i owa przymusowa uległość sile, która dumie jego była nieznośną.

Rad był, że wnuczkę jedyną wyda za polskiego księcia.

Na zamek na wyspie położony, a po dawnemu jeszcze wyglądający, wiódł stary Przemka, już jak syna go przyjmując...

Mąż był poważny, milczący, nie narzekający nigdy, zbolący a smutny — lecz radość wielką jaką miał z przybycia księcia, na pogodnem obliczu się malowała.

Wszystko co otaczało Barwina miało staroświecką jakąś cechę.

Zachowywano tu nawet dawny obyczaj oddzielający zupełnie niewiasty od mężczyzn, a chociaż już naówczas w Niemczech i u nas bywały one do nczł przypuszczane, u Barwina pospolitych dni przy stole się nie ukazywały.

Pierwszego też dnia, gdy wieczorzano w izbie dolnej przy pochodniach i gędźbie a śpiewach, nie było ani jednej niewiasty. Może tylko przez rozwarte gdzie drzwiczki zdala mogły panu młodemu się przypatrzyć.

Barwin obok siebie na wysokiem siedzeniu Przemka posadziwszy, wieczora tego nic o swadźbie nie dopuścił mówić, bo ta wedle starych zwyczajów dopiero nazajutrz uroczyście się odbyć miała.

Narzeczoną swą miał Przemko zobaczyć naów-

czas, gdy dziad zezwoliwszy na małżeństwo, rozkaże ją przywieść.

Przy wieczerzy szła rozmowa leniwo i nie wesoło, Przedpełk wojewoda młodego pana zastępował. Jadła i napoju w bród było dla gości; lecz mimo ochoty do której zagrzewano, coś zawisło nad głowami biesiadujących jakby trwoga czy przeczucia. Usta się nie rozwiązywały, spozierano na się nieufnie.

Dwór Przemka po części niemiecki, po trosze zniemczały, nie mógł się dobrze porozumieć z pomorzanami.

Młody książę, który szczęśliwym się powinien był okazywać, nie mógł się przemódz, aby się staremu uśmiechnął.

W starym Barwinie coś było poszanowanie obudzającego, ale razem i trwogę. Siwa do pasa broda, krzaczyste brwi, z pod których para białych, ostyglych oczów patrzała, usta zaciśnięte i pokryte, czyniły go tajemniczym i groźnym. Głos miał stłumiony i grobowy.

Do jego usposobienia wszystko się tu nastrajało, smętnie i trwożno.

Gdy Przemka odprowadzono do komór mu przeznaczonych, a sam pozostał ze swojemi dworakami, bo wojewoda u księcia starego miał posłuchanie, — narzeczonemu zrobiło się smutno i tęskno tak, że gotów był uazad nocką do Poznania uciekać.

Widząc go tak przybitym, młodzież silila się aby czemiś rozerwać.

Zaręba gdy wjeżdżali na zamek, spotrzegł był po nad wrotami, w górnych oknach, kilka pięknych twarzy niewieścich, ciekawie się im przyglądających.

Pomiędzy niemi uderzyła go była szczególnie jedna, dziewczeczka z długo na ramiona rozpuszczonymi włosami jasno-złotemi, w wianuszkach zielonym ze złotymi jagody, cała w bieli ubrana. Do koła jej cisnęło się innych wiele.

Domyślił się w niej łatwo księżniczki Lukierdy.

Była cudownie piękną ale nie tak jak wówczas pięknemi dziewczęta mieć chciano. Wątpła, bieluchna, ze swemi niebieskiemi oczyma jasnemi zdawała się niby cieniem onej jakiejś zwodnicy, co się zwykła nad brzegami stawów lub w powietrzu ukazywać, by człeka zawieść na zgubę... Piękną była jak jaka Muława.

Patrząc na nią strach brał aby lada powiew wiatru nie rozdmuchnął ją we mgłę...

Z trwogi może, gdy się jej Zaręba przypatrywał, bladej stała się jeszcze. — Wydała mu się piękną jak anioł, ale wątpła jak dziecina. Była też nie wielkiego wzrostu, szczupła i drobna. Inne koło niej urodziwsze i krasniejsze niewiasty i dziewczęta, choć oczy ciągnęły ku sobie, ta między niemi królowała. Znać w niej było panią.

Rączki bie'utkie, które przyciskała do piersi, małe były jak u dzieciny. Zarębie się zdalo, że lży w orzkach miała.

Później się u ludzi rozpytujac, przekonał się, iż nie kto inny była, tylko Lukierda, dla Przemka przeznaczona.

A że, oprócz niego nikt nie dopatrzył ksężniczki, Zaręba pospieszył z tem do pana, aby go urodą jej pocieszyć, opisując jak wielkiej piękności i młodzietką mieli dostać panią, nad którą jak żyw śliczniejszej nie widział.

Przemko słuchał, ale mało go to zdawało — się obchodzić — choć drudzy wszyscy, ciekawi cislęli się dopytujac i ciesząc.

— Bóg mnie skarz, — mówił Michno, — jeżeli ja kiedy drugą taką, albo do niej podobną widział niewiastę. W kościele na obrazie, który ksądz Teodoryk przywiózł z włoskiej z emi, jeden anioł grający podobny trochę do niej, aleć żywa piękniejsza od niego. Młodo tylko i bardzo dziecinnie wygląda, a no i nasz pan nie stary, więc para będzie dobraua.

Włos długi złocisty, jak płaszcz ją okrywał, puszczoney po ramionach... twarzyeczka biała jak kość słoniowa, oczy niebieskie jak bławatki, a oblicze jakby do śpiewu i modlitwy stworzone.

Drudzy dworzanie prychali śmiejąc się z Zaręby, iż w niej prawie rozmiłowany był, na co on odpowiedział, broniąc się, że jużci świętych

i błogosławionych miłują ludzie, a grzechu w tem ani wstydu nie ma.

Nałęcz nieodstępny od Zaręby, choć się z razu nie chwalił tem, potwierdzał, że i on widział księżniczkę, która mu się też bardzo piękną wydała.

Inni, sądząc, że księcia tem rozerwą znosili, o czem się dowiedzieli u dworu iż nietylko była piękną, ale dobrą, łagodną, miłosierną, wiele robót niewieścieich osobliwych umiała, i pieśni przygęśli śpiewała tak cndnie, jak żadna.

Na tych powieściach zeszła reszta wieczora. Przemko słuchał ich roztargniony, potem zaraz legł, a gdy Przedpełk oznajmić przyszedł, że nazajutrz swadźba się uroczyście odbyć miała, do której wielkie czyniono przygotowania, ani słowa nie odpowiedział.

Czeladź szeptała między sobą, iż niemkini swej zapomnieć nie mógł i markotno mu było po czar-nookiej.

Drugiego dnia z rana do siedzącego w otoczeniu swych Wojewodów i urzędników Barwina, szedł młody książę z Przedpełkiem, ze dworem, przywdziałwszy szaty bogate, łańcuchy, klejnoty i co kto miał najpiękniejszego.

Mieli na co patrzeć Szczecińscy, bo Przemko choć nie wesół był i serca nie miał do tego wesela, ale występować lubił i na ten dzień przystroił się bogato i okazaźnie. Chwalili go, że pię-

knym się wydawał. . Wojewoda z pociechą i dumą widział, że tu się nikt z nim równać nie mógł. —

Nastąpiły przemówienia, na które ze strony Barwina odpowiadano starodawnymi mowy (brzędowemi, jakie przy swadźbach od wieków były w użyciu.

Gdy się ta wymiana pytań i odpowiedzi skończyła, dopiero na dany przez starca znak, rodzona ciotka panny młodej, z wielkim orszakiem postrojonych niewiast wprowadziła do izby księżniczkę.

Taką się ona teraz wydała wszystkim, jaką ją opisywał Zaręba. Strwożoną wielce i zaledwie iść mogącą, ciotka musiała i družki podtrzymywać. Szła bielusińka jak lilja, drżąca, chwytając się i gdy do nóg dziada przypadła, prawie omdlała podnosić z ziemi musiano.

Godzi i się wszyscy, iż cudnie była piękną, ale jakąś urodą, której człek tknąć się nie czuł godzien.

Czy ją trwoga tej godziny życia, co o życiu całem wyrokowała, ogarnęła, czy żal po dziadowskim domu — ale siły całkiem postradala, aż ją otrzeźwić musiano... i wieść, bo nie wiedziała co się z nią działo...

Przemko też nie wiele przytomniejszym był. Gdy ich potem oboje jako narzeczonych u stołu posadzono obok siebie, słowa do niej przemówić nie śmiał, ani nawet spojrzeć na nią. Ona też

nie jadła nic, oczki trzymała spuszczone, drżała. Wiannuszek ją zdradzał...

Kiedy niekiedy, gdyby perła duża padła iza z pod powiek co oczy osłaniały na białą, złotem szytą sukienkę, znikając gdzieś w jej fałdach... Kazał im tedy rozweselony stary pieć z jednego kubka, na znak, że odtąd wszystko między niemi wspólnem być miało.

I padła uez p.ra z oczów do napoju, który Przemko wychylić musiał, a gdy mu kubek podawała, a dotknął jej ręki przypadkiem, zimną była jak złote naczynie, które trzymała.

Dziewieczego wieczora obrzędy, choć po innych dworach już zapomniane były, tu się starym zwyczajem odbywały, jak u pospolitego na wsiach ludu. Przy czem osobliwe nucono pieśni pomorskie i kaszubskie, które tylko po chatach jeszcze posłyszeć było można.

Stary Barwin chciał mieć i gęślarzy i śpiewy i wszystkie zapomniane obrzędy, może więcej dla własnej pociechy, niż dla wnuczki, którą męczono sadzając, splatając i rozplatając jej kosy, wodząc po izbach i kątach...

Starsze niewiasty, którym miód ochoty dodawał, raz począwszy nie darowały już pieśni żadnej, ani najmniejszego słowa...

Narzeczony też musiał wedle wskazówek druhów, kłaniać się, na pytania odpowiadać, to przy

dziewczęciu siadać, to za drzwi precz iść i powracać.

Zniemczałemu dworowi wielkopolskiego księcia, wszystko się to może śmiesznem wydawało, ale ciotka i baby, gdy się rozgospodarowały i rządzić zaczęły, na śmieszki nie zważały wcale.

W ciągu tych śpiewów i chodów, Przemko razy kilka stawać musiał przy Lukierdzie, coś do niej przemówić, rękę jej ująć. — Ta była jak lód zimna, a gdy księżniczka odpowiadać musiała, głos jej tak był cichy i ławy, iż go prawie nie mógł dosłyszeć. —

Późno się to w noc skończyło. — Kilka razy Przemko spojrzał w te niebieskie oczy ławe i ona trwożliwie spotkała się z jego wzrokiem. — Oboje jakby przestraszeni drżeli.

Książę, który zawczasu do lada dziewczęcia taką miał pokusę, że wszystkie przed nim uciekały, dla tej ślicznej swej uarzewionej prawie wstręt okazywał.

Zdawało mu się, że go mrozem wzrok jej obłewał — ona płakała mimowolnie, gdy patrzył na nią...

Po tym wieczorze mężczyźni sami zostali jeszcze za stołem z pieśniami i żarty — których i Przemko słuchać musiał.

Wojewoda Przedpełk namawiał do tego, aby weselszą myśl obudzić.

Ozwały się piosuki po troszę swawolne, ru-

baszne, żarciki jakich sobie tylko przy weselach pozwalano — ale księżę zdawał się ani słuchać, ni zważać na nie. Krzywil się raczej, niż uśmiechał, gdy je wprost do niego zwracano.

Wojewoda szeptać musiał do neha, że na weselu przecież pan młody szczęśliwego choćby ndawać — był powinien.

Domownicy Barwina ściągnęli do izby gęślarczy, których powołaniem było zabawiać gości i starego wesolka księżęcego, zwanego Kluską, mającego dar opowiadania baśni śmiesznych.

Szczeciński pan lubił bardzo swego dworaka, bo sam zawsze prawie będąc markotnym, czasem się choć z blażństw jego mimowolnie mógł rozśmiać. Garbaty, malutki, lisy, z długimi do kolan rękami, ubrany dziwacznie w kusy kubraczek w pasy czarne i czerwone, w takimże kapturku, z mieczykiem drewnianym, Kluska siadłszy u nóg Przemka dokazywał ndając napilego. Wolno mu było prawić, co ślina do gęby przyniosła bezkarnie.

— Hej, pameczku polski, — wołał zwracając się do niego — powinniście sobie u Barwina wyprosić, aby dal mnie wam w posagu za wnuczką! Nie dalbym ja długo tak ponurym być, jak oto dziś! Za młodu trzeba się wyśmiać, bo potem nie będzie czasu.

Albo to wasza bohdarka nie piękna? na królowę by się zdała! Na rękach ją nosić a klękać

przed nią! A żebyście głos jej posłyszeli kiedy zaśpiewa... chyba aniołowie w niebie panu Bogu tak pieją!

Przemko milczał sparty na rękę. Im bardziej mu ją chwalało, tem się wydawała wstrętniejszą, niewiedzieć dla czego.

— Panku mój, — ciągnął Kluska dalej — napij bo się wina! Dziś trzeba ci koniecznie śmiać się i wesółym być. Księżniczka za dwoje płacze, bo jej tak prawo każe. Jej by nie przystało się radować kiedy dziadusia opuścić musi a wianuszek utracić... E' wianuszek ów złoty!

Chcąc się zbyć natręta Przemko, rzucił garbusowi garstkę pieniędzy, które on wsypał do toboły dużej, na plecach zawieszonej, ale nie ustępywał.

— Zabierzecie nam z zamku, zabierzecie co najlepszego było — mówił smutnie. — Patrzajcież gdy wieść będziecie gołąbkę, aby słońce nie przypiekło bo się roztopić może, aby wiatr nie zawiał, bo się we mgłę rozplynie... My tu na nią chuchali, my tu ją tak kochali...

— Nie bójcie się, — odezwał się Wojewoda ze strony — znajdzie ona i u nas miłość i chuchanie. Strzedz będziemy kwiatuszka, a posadzimy go na pięknym, wysokim zamku.

— Ale! ale — odparł Kluska — choćbyście ją w złoto i djamenty opracili, tak jej jak u nas niebędzie — jeśli jak my jej nie umiłujecie...

Spuścił głowę.

— Nam tu bez niej zostać, jak bez słonka, bez powietrza i bez wody.

Nie jeden stary garbus tak biadał, wszyscy w zamku po księżniczce płakali. Szczególniej bo dobrą była i miłosierną dla biednych, prostemu ludowi zbliżyć się dawała do siebie, pychy nie miała żadnej, a gdy wieśniaczki przychodziły do niej najweselszą, najszczęśliwszą bywała z nimi.

Napierała się często dziadkowi, aby ją na wieś puścił, to na wesele jakie, to na kupalę, na święto stare, do lasu. Ciągnęła swój dwór z sobą a powracała w wianuszku z kwiatów leśnych, z fartuchem pełnym ziół wonnych, lepiej się tem zabawiszy niż na dworze z niemcami.

Taką jakąś miała naturę prostaczą, co jej niektórzy za złe mieli, a drudzy ją sławili z tego.

Szedł do niej lud z wiosek, dziewczęta i baby z prośbami różnemi śmiało, o każdej godzinie, jakby księżniczką nie była, ale rodzoną mu i równą.

Nie poznać też w niej było pani, gdy się po wiejsku przyodziwała, i z piosnką na ustach szła w pole.

Dziad i ciotka chcieli ją od tego odzwyczaić i nie mogli; pocieszał się tylko stary tem, że gdy w obce strony pójdzie, obyczaju tego zabyć musi.

Cała noc śpiewami i okrzykami brzmiał dworzec w Szczecinie...

Stały beczki smolne nad rzeką do koła, noc była pogodna i jasna.

Jedni zabawiali się w izbach, drudzy w podwórcach ochoczo. Barwin nie skąpił w tym dniu ni napoju, ni jadła, puszczano kto chciał, aby ludzie pamiętali zaślubiny Lukierdy.

Kluska przekonawszy się, że Przemka nie rozchmurzy poszedł do izby starego pana, który, choć nie spał, spoczywał już. Siadł mu w nogach na ziemi, i patrzył na Barwina długo.

— Cóż ty stary? radujesz się? — zapytał.

— Czemubym nie miał być rad?

— Bo twój polski narzeczony jakby się kwasu napił — a trzeba przecie, aby na weselu komuś wesoło było. Ja za wszystkich nie starczę.

— I narzeczony potem wesół będzie! — rzekł Barwin.

Kluska głową kręcił.

— Księżniczka płacze też...

— A ty? — przerwał stary książę.

— Jam zły — choć się śmieję, — rzekł blazen. Pilno bo ci było owoc niedojrzały na ostre zęby dawać! Co ty teraz sam poczniesz na tym pustym zamku, jak ci się jej piosenka nie odezwie, jej śmieszek cię nie rozweseli... Nuż jeszcze zdala jęk przyleci.

Barwin się pogniewał.

— A! ty, kuku przeklęty co nawet na swadźbę krakasz — krzyknął. — Stulże ty mi dziób zaraz.

Oburącz chwycił się za twarz Kluska, spełniając rozkaz, a oczy takie wlepił w starego, że on od niego wzrok odwrócić musiał.

Wesołek po chwili mruczał znowu.

— Nie było jej przed czasem swatać! nie było! Niechby pączek rozkwitnął, niechby my się nim pocieszyli.

Barwin stary ręką powiódł po czole, milczał nie chcąc nawet odpowiadać blaznowi, co się na kaznodzieję przerobił.

— Piękny panek! młody, a pyszny! Kapie z niego złoto — znać, że ziemi dużo będzie miał, ale czy tyle szczęścia? P. grobek on jest, a pogrobkom różno bywa...

Książę stary kopnął go nogą, Kluska zamilkł. Z cicha potem zaczął jakąś piosnkę zawodzić.

Żał mu się już zrobiło starego, któremu dokuczył i przypomniawszy sobie śpiwkę z dawnych czasów, której Barwin słuchając zawsze się rozplakał, a po łzach mu potem łżej było — ją zaśpiewał.

Stary posłuchawszy, łagodniej spojrzał na blazna, czolo mu się wypogadzać zaczęło. Cichym głosem, drżącym a ławym nucił niewyraźnie Kluska.

Ale oni we dwu i tę nutę ledwie pochwyconą

i słowa jej nie dosłyszane rozumieli a łączy się im oba toczyły...

Długo, długo odzywała się pieśń ta, którą czasem z podwórców dolatujące przerywały okrzyki, aż stary pan i sługa stary usnęli jeden na wezgłowie, drugi u nóg jego na podłodze...

I przespali tak dziewiczy wieczór, a gdy nad ranem przebudzili się, w zamku po nocnej biesiadzie wszystko twardym snem ujęte leżało..

IV.

Skwarny dzień był Lipcowy, niebo wypogodzone miało barwę dni letnich płową od gorąca i jakby oparami przyćmioną. Słońce zniżając się ku zachodowi, pozbawione promieni, toczyło się jak krwawa kula, wkrótce mając w pościeli mglistej zatonać.

Straszne swą rubinową czerwonością, płynęło powoli, stało, patrzyło na ziemię zakrwawioną żrenicą, a ludzie trwożyli się tem obliczem rozgorzałem, które według nich, gniew jakiś zwiastowało.

Słonko gniewało się na ziemię.

Stare niewiasty brody popodpierawszy na wyschłych rękach, porząsały siwemi głowami, wiedziały one, że takie w posoce umyte słońce, prorokowało zawsze — mord, krew, pożogi, wojnę.

A dla czegoż właśnie tego siódmego Lipca, pokazało się z takim rozplómnionem obliczem? gdy w Poznaniu oczekiwano na młodą księżnę, którą książę Przemko ze Szczecina przywoził? Nawet duchowni skłonni byli widzieć w tem jakąś przestrogę, palec Boży — i stali posępnii, poszeptując modlitewki.

Stara Krywicha stojąc przed dworkiem swoim z babą Wojtkową, nie mówiła nic, bały się, aby nie były podsłuchane, lecz coraz to spozierały ku słońcu, to na siebie, a zaciskały usta, a głowy się im kołysały znacząco.

Skwar nie zmniejszał się mimo wieczorą, owszem teraz coraz ciężiej jakoś oddychać było; a tu całe miasto wysypało się w ciasne, kręte uliczki, na podwórka, na wały, na rynki, nad rzekę, na gościniec wiodący od Szczecina, bo każdy chciał młodą panią zobaczyć.

Na wieży zamkowego kościoła stał strażnik postawiony tam po południu zaraz, który miał dać znać chorągwią, jakby tylko orszak zdala zobaczył. I miano wnet we wszystkie uderzyć dzwony.

Na wałach zamkowych, gotując się wyjechać na przyjęcie z orszakiem wspnianiałym, siedział pot ocierając z czoła książę Bolesław Kaliski, rad, że to małżeństwo doprowadził do skutku.

Przy kościele stało duchowieństwo w komżach i kapach, sami na czele jego sędziwy Biskup Mi-

kołaj, kler. kanonicy i zakony, które w Poznaniu i sąsiedztwie miały klasztory. Ludzie w pogotowiu trzymali chorągwie, baldakim dla pasterza, kadzielnice, w które chłopcy dmuchali aby nie zagasły, naczynie z wodą święconą, cały przybór do uroczystego przyjęcia.

Przy księciu Bolesławie, Kasztelanów kilku, mnóstwo ziemian stało poubieranych jaskrawo i świątecznie. Zdawało wydawali się jak pole zakwitłe makiem, bławatkami i wszelkimi dziećmi lata.

Konie rżały i kopały nogami, pacholcowie zdjętymi czapkami powiewali rozpędzając skwar wielki, bo nie jeden jak w wodzie stał od znoju. Co raz to ktoś głowę ku górze podniósł, spoglądając na wieżę czy z niej jakiego znaku nie dadzą...

A słońce coraz czerwieńsze, bezpromienne, straszne, zdało się wciąż okiem krwawem i żółtawionem spoglądać na te ludu tłuny.

Po domach i dworach nie było żywej duszy, wszystko wyległo w ulice; młodź i chłopcy, którzy się docisnąć nie mogli aby coś zobaczyć z za szerokich pleców starszyny, okrywali ploty, zasiadali dachy, trzymając się dymników, ustawiali się na całych drabinach do domostw poprzystawianych

Na podzamczu we dworcu Krywichy, która stała z Wojtkową w ulicy, obie paradnie strojne

z ogromnemi chustami powiązanemi na głowach, w jedwabnych kaftanach, w mnóstwie sznurów koralu na szyjach -- z otwartego okienka widać było twarz jakby w ramy oprawną, śliczną twarz dziewczęcia jasnowłosego, z oczyma czarnemi, ognistemi, zagniewaną, groźną, namarszczoną, zarumienioną, dyszącą...

Obie ręce białe, trzymała na ramach okna, sama wychylając się z niego z ciekawością gorączkową.

Nie widziała nic, na nią patrzali wszyscy, a niektórzy poszeptując coś, pokazywali ją sobie palcami.

Wśród tego ludu przybranego świątecznie, strojnego, wesołego, radującego się, czarnooka stała jedna wcale nie odziana, włosy miała w nieładzie, białą tylko koszulkę na sobie. Ale stroju jej nie było potrzeba aby być piękną — młodość miała, która najlepiej ubiera i wdzięk taki, że nawet z gniewem było jej do twarzy.

Młode parobczaki zerkając ku niej, cmokali i lubowali się tej śliczności.

Choć tłum mrucał i szmer głuchy przelatywał w powietrzu, wyrównywał on prawie milczeniu, gdy się spojrzało na tych ludzi tysiące... Wszyscy wstrzymując oddech, słuch wyteżali w oczekiwaniu, a oczy zawracali ciekawe, gdzie człek na wieży na straży stał, wychylony z okna nie rozpuszczając czerwonej chłorągwi.

Słońce krwawe jakby mrok jakiś zaczął okrywać

jak mgła. Dółem pod niem liljowe wyziewy z ziemi wstawały, nad lasami w dali majaczało sino...

W tem nagle na wieżycy powiała szeroko puszczonej purpurowej chorągiew i pierwszy dzwon się odezwał, niby krzykiem boleśnym. Cały tłum ów ruszył się, zachwiał, jak fala ogromna rozkołysał i jakby jednym głosem zahuczał. Oczy wszystkich pobiegły na gościniec...

Na zamku słychać było tentent koni — pokrzykiwania ludzi — za dzwonem jednym, poczęły co prędzej wyrwać się wszystkie inne... wielkie i małe, i złało się ich brzmienie w jeden ton uroczysty, żywy, spieszny.

Szum tłumy zmienił się w gwar, a gwar we wrzawę, wśród którejś śmiechy tylko można było rozróżnić.

Z zamku wyciągali wszyscy. Duchowni pochod rozpoczynali, chorągwie powiewały nad ich głowami, z kadzielnic dym siny obłoczkiem podniósł się ku górze.

— Jada! jada! — krzyczano zewsząd, niewiasty płaskały w dłonie, dzieci krzyczały.

Tłum nie mogąc się poruszać tak był ściśnięty, w miejscu szeptał, kołysał się, tałował...

— Jada!! jada!

A na gościńcu w dali widać tylko było duży tuman płowy i kurzawę wzbiją do góry.

Nie wielu ucho pochwycić mogło z tamtej strony, jakby odgłos trąb, którym z wieży dzwony i trąby też odpowiadały.

Orszak księcia Przemka był wspaniały. Poprzezdzali go w kapach czerwonych z szytymi na piersiach orłami trębacze i bijący w kotły tarabaniarze. Dalej jechał Wojewoda poznański orszakiem dowodzący, od złota też i purpury odziany, w hełmie złotym.

Na siwym koniu pokrytym kapą, aż do ziemi spadającą, z głową przystrojoną w czub i brzękadła, jechał sam książę Przemko we zbroi złotej z orłem na piersi, w hełmie lśniącym, piękny, młody, lecz poważny i smutny. Obok niego na takimże koniu, w czapce książęcej na główce, w płaszczu jedwabnym szkarłatnym, jechała piękna Lukierda, lecz gdyby Zareba pieszo idący konia jej za uzdę nie trzymał a dwu dworzan nie stało po bokach, rękami wyciągnionemi ją podpierając, możeby nie dosiedziała na wierzchowcu, tak była blada, przełęczniona, osłabła... Jechała nie jak na gody, lecz jak skazany na męki, oczu nie śmiejąc podnieść, rączkami drżącemi chwytając za siedzenie, chyląc się jak kwiat na lody-dze, gdy nim wiatер śłania.

Radością brzmiało wszystko do koła, a w niej strach i trwogę widać było.

Kilka razy, żywo ukradkiem przeżegnała się krzyżem świętym, oczy jej strzeliły ku miastu i grodowi i zamknęły się. Zareba konia jej prowadzący coraz to spoglądał na nią i żal mu jej było.

Im bardziej zbliżali się ku zamkowi, tam jej bojaźń wyraźniejszą się stawiała.

W chwili, gdy mijali dworek Krywichey, błędne oczy Lukierdy padły na okienko, z którego wyglądała czarnooka i ujrzały dwie zaciśnięte pięści, które jej nie komu innemu podniósłszy się, groziły.

W otwartych ustach dziewczyny zobaczyła zaciśnięte zęby białe — zdawało się jej, że postyszła przekleństwo i groźbę — Z przestrachu krzyknęła ale wrzawa pospólstwa, zagłuszyła głos jej cichy, który w łkaniu utonął.

Pierwsza w progu stała, czekając na nią jakaś groźba i prorocstwo niedoli.

W tejże chwili prawie nadciągnęło duchowieństwo, Biskup, książę Bolesław. Kościelny śpiew zabrzmiał hymnem wesołym i wszystko znikło z jej oczów.

Nieopodal na zamku widać tylko było szeroko rozwarte drzwi kościoła, w którego głębi pozapalane światła, zdaly się jakby katafalk otaczać.

Z nowym przestrachem Lukierda oczy wlepiała w ten obraz wieszczy. I zdało się jej, że widzi trumnę całunem okrytą, otoczoną świecami, a w trumnie czuła siebie... Dreszcz ją przeszedł i lzy się z oczów polały.

Do koła brzmiały okrzyki.

— Witajcie! Żyście!... Trąby coraz głośnieję huczały dzikim tryumfem, niby urągając się łzom biednej.

Biskup, który ich wiódł, przyjął parę u drzwi kościelnych...

Na cichej modlitwie u ołtarza jak liść drżała Lukierda.

Potem widać było wszystkich znowu ciągnących na zamek. Stary książę wesół prowadził parę swoją.

Tego dnia on tu pewnie był najszcześniejszym. Spełniło się czego pragnął. Usłał gniazdo, Przemko miał żonę. Wąta była i blada, lecz zmęczona i wylękała.

Szczęście ją odżywić musiało.

Krywicha mówiła do Wojtkowej.

— Widzieliście wy ją? Toż to jak powisemko lnu wąte, oczy zapłakane i blade... Nam nie t kiej na księżnę było potrzeba. — Pamiętacie nieboszczkę Elżbietę! Ta była zażywna, silna a krzepka! Słyszę ma piętnaście lat a wydaje się jakby trzynastu nie miała...

Wojtkowa potwierdzała wszystko.

— Z twarzy niczego... ino blada! blada! Czem oni ją tam karmili?

— Słabowite to będzie, a do takiej co piszczy mąż się nie przywiąże, bo to tego ani tknąć...

I głowami wahały.

Krywicha się pospiesznie do okna zbliżyła w którym niemka czarnooka gniewem dyszała. — Śmiejąc się szepnęła do niej.

— A co? a co?

— A co? trupa mu do łoża przywieźli! — zawrzała Mina z pogardą. — Krwi w niej nie ma! Jechała jak płótno biała... A ja! obie do niej wyciągnęłam pięści, widziała i krzyknęłam — Przekłęta! słyszała... Zachwiała się na koniu, o mało nie padła... Cha! cha!

Rozśmiała się Mina.

Krywicha przerażona załamała ręce, niemki już w oknie nie było.

Na zamku sadzano Lukierdę przy księciu mężu i Bolesław stary gospodarzył, rad i wesół jak rzadko go kto widział, ściskając synowca co chwila.

Nie w smak mu szło, iż nowożeniec wyglądał jakby mu źle było na świecie. Słowa z niego dobyć nie mógł, patrzył w oczy, gniewał się. Młoda żona przecie na podziw piękną była, czegoż mógł pragnąć więcej?

Siedzieli u stołu długo, potem obyczajem niemieckim płasy się rozpoczęły, ale Lukierda ledwie opierając się, rzuciła do nich wyciągnąć dala...

Przeszła jak cień, chwielejąc się... Skarżyła się na zmęczoną podróżą i wymknęła do komnat swoich, w których progu czekała na nią niespokojna stara piastunka Orcha. Tej od wyjazdu ze Szczecina oczy od łez nie osychały.

Orcha kochała swą panią jak dziecko, wykolywała ją na rękach, wszystkich pieśni uczyła...

Ujrzawszy błądą, ślaniającą się, upadającą

pod ciężarem sukien swych, łańcuchów i złotych brzemion, pochwyciła ją silnemi rękami i gwałtownie zatrzasknęła drzwi, aby dziecię jej mogło odpocząć same... z nią tylko. Lukierda obejrzała się po izbach. Wszystko tu obce jej było. Wspaniałe stoły i strojne, ale to w co je przybrano, spuścizna po Przemka matce, wiało zbutwieniem i stęchlizną. Powietrze jakieś trupie czuć było w komnatach, które długo stały puste i zamknięte.

Nie były to jej wesołe izdebki na zamku w Szczecinie. z których na rozlane szeroko do koła wody patrzała i na łąki zielone.

Z okien widać było wały wysokie, mury szare, jakby ściany więzienne.

Zakryła oczy Lukierda i rozplakała się, Orcha ją objęła rękami i przytuliła do siebie...

W niemym uścisku pozostały tak chwilę, a stara piastunka czując omdlewającą panią, poczęła z niej żywo zdejmować, zrywać, zrzucać łańcuchy, kołce, pas i suknie, co ją swym ciężarem przygniatały.

— Uspokój się, gołąbko moja! — Uspokój! Zamknęłam ja drzwi, nie wpuścimy nikogo!

— A! jaki to zamek straszny! jak grób! — wyjąknęła Lukierda.

Orcha pewnie myślała toż samo, ale się słowem nie odezwała, nie chciała dodawać jej bólu.

Spiesznie posadziwszy na łóżu rozdziewała swą księżną, gdy do drugich drzwi gwałtownie dobijać się zaczęto.

Lukierda strwożyła się i drżać mocniej zaczęła, ale Orcha podbiegłszy, za drzwiami usłyszała głosy niewieście.

Był to nowy dwór księżnej, który się dobiżał do swej pani.

Na czele jego szła ochmistrzyni, zamaszysta i otyła, cała we wstęgach i galonach, znana we dworze niemka Berta, która za czasów królowej Elżbiety dziewczką przy niej była. Wyszczekana, zła, zazdrosna, chciwa, zalotna jeszcze choć jej lat czterdzieści przeszło, pewna siebie bo miała u Przemka łaski — parła się dumna, dopominając praw swoich... Mówiono o niej, że księżciu się zaślubiwała, mimo duchownych i wojewody, pomagając do pokątnych miłostek.

Berta już się знаła z Miną. Szła do swej nowej pani, uprzedzona przeciw niej, na piastunkę gniewna, że się jej tu wdzierała, wiedząc za sobą sześć dziewcząt służebnych, dobranych tak krasą i zdrowiem aby panią zaćmiły... Wszystkie one patrzyły dziko, zuchwale, śmiało.

Orcha chciała im wzbronąć wstępu, gdy samowolna Bertocha poparła drzwi z całej siły i gwałtem wtargnęła do sypialni, poczynając od głośnej klótni.

— Cóż to? nie wiecie, że ja tu za rozkazaniem książęcem starszą jestem? — krzyknęła, biorąc się w boki. — Tu nie ma prawa nikt około pani mej chodzić, krom mnie i sług...

— Ja jestem jej piastunką!

— Nie dzieckoż ona! piastunki jej nie trzeba!

— rozśmiała się Bertocha.

Spór wszczął się u drzwi, którego Lukierda płacząc słuchała. W obawie ażeby jej piastunki nie odebrano, pół rozebrana do drzwi pobiegła.

Widząc ją nadchodzącą, dziewczęta ciekawe wyciągnęły szyje, wytrzeszczyły oczy, śmiejąc się i mrugając... Bertocha stała wcale nienękniona

— Ja tu, nie kto, jestem starszą do usług waszych! — zawolała.

— Na Boga! zostawcież mi piastunkę moją — odpowiedziała płacząc Lukierda. — Ja nikogo oprócz niej nie potrzebuję — słaba, odpocząć muszę.

— Możesz wasza miłość spoczywać — poczęła zuchwałe Bertocha — my na obcych się zdać nie chcemy, nam tu usługa należy...

— Ona mi nie obca! wyście obce! — z płaczem odparła Lukierda. — Idźcie! ja rozkazuję...

Głosu jej brakło, a Bertocha przerwała.

— Pierwszy u mnie rozkaz mego pana...

Gdy się tak spierano u progu, dziewczęta wszystkie weisnęły się już do izby, Bertocha wparła do środka i zaczęła gospodarzyć. Nie zważając na księżnę porwała suknie zdjęte, dawała rozkazy służebnym.

Orcha uspokajając odprowadziła Lukierdę ku łóżn. Niepotrzebnej usługi zbyć się nie było można. Księżna płakała a dziewczęta prychały, śmiały

się, kręcąc i popychając po sypialni. Ażeby coś robić i niby służyć do czegoś nalewały wodę w misy, przenosiły dzbany, targały opony, zasuwwały i odsuwały okna, nie mogąc szyderskich utulić śmiechów.

Nie wdając się już w spory z niemi, Orcha dawała im czynić co chciały, sama zasiadła przy dziecku swem, postanowiwszy nie opuszczać go, choćby się bronić przyszło siłą. Ręką konwulsyjnie zaciśniętą trzymała ją za szatę Lukierda.

Bertocha snła się do koła, zachodziła ze wszystkich stron, zagadywała napróżno, w końcu gniewna a uparta siadła na ławie, dziewczętom rozkazawszy aby do drugiej izby odeszły.

Zc znużenia i płaczu usnęła by była może Lukierda, bo już i noc nadeszła, ale krzyki na zamku i groźna, nasepiona twarz Bertochy, której oczy ciągle spotykała wymierzone ku sobie — zasnąć jej nie dozwalały.

Orcha objąwszy rękami kołysała ją jak dziecko, pół głosem nucąc pieśń od kolebki znaną — tę, którą ją usypiała małą. Zamknawszy oczy biedne dziecko mogło się jeszcze sądzić na zamku dziadowskim — swobodną.

Sprzyskrzyło się w końcu siedzieć tak niemej Bertosze, zżymnęła ramionami, zamruczała jakby przekleństwem i wyszła.

Lukierda otworzyła oczy! A! znowu były same. Siadła na łożu, włosy jej rozpuszczone okry-

wąły ramię, musiała ręką odgarnąć je z czoła, aby oczyma rzucić po swem więzieniu.

W izbie było ciemno, jedna lampka u obrazu N. Panny zapalona przez Bertoche, płonęła małym światełkiem pomrużując. Na ścianach i stołach wielkiej komnaty, tu i ówdzie we złocie i kamieniach światełko to odbijało się jakby oczki stworzeń jakichś szpiegujących młodą panią.

Po kątach grube zalegały ciemności pełne widm strasznych...

Poruszające się zasłony, migające światło, ludziły niby życiem tam gdzie go nie było.

Dreszcz przechodził nieszczęśliwą wygnankę, chwyciła za szyję Orche i płacząc szeptać poczęła.

— Moja ty, moja! a! jak tu obco i straszno! Jak ja tu żyć potrafię! Nie opuszczaj mnie choć ty jedna... Nie mam nikogo! Te straszne sługi, napadły mnie jak zbóje. Słyszalas ich śmiechy? Ta Starsza, jakie ona ma oczy! Ukąsiła mnie wzrokiem.

— Golątko moja! — tuląc ją i oglądając się aby z ciemności ktoś nie podsłuchiwał, szeptała Orcha. — Uspokój się! Takie przeznaczenie nasze. Paniętasz pieśni dziewczęce, one to prorokowały: na obce pójść ręce i słuchać pana obcego! Los to każdej dziewczyny i biednej i możnej. Przywyknijmy do tego! Pan twój dobrym będzie i kochać cię musi. Uśmiechniesz mu się i zrobisz

z nim co zechcesz. . . Zawsze straszne pierwsze doby...

Uspokój się, gołąbko moja! zaśnij, zaśpij...

— Nie mogę! serce mi bije. Ty nie wiesz — mówiła księżna po cichu — ja się go bardzo boję! Młody i piękny jest, ale ja jego, on mnie nigdy miłować nie będzie. Czuję.. jakby ściana z kamienia stoi między nim a mną.. gdy spojrzę na mnie, jakby się odgrażał, gdy się uśmiechnie zębami zgrzyta...

A! Ocho, ja się go boję!

— A! a! — wciąż ją przyciskając i głaszcząc szeptała piastunka. — Tak zawsze pierwszych dni bywa! Mężczyzna się wydaje wrogiem, ale potem, niewolnikiem się stanie. Tylko mu bądź wesołą, dobrą, łaskawą, pokłoni się, posłusznym będzie. A nie pomoże nic, damy mu ziele pieć.. i węzelek od sukni oderwać mu trzeba a nosić przy sobie u piersi, na sercu...

— Nie! nie! — opierała się Lukierda — nie pomoże nic! Ja to czuję... Boję się go! Gdy ręki jego dotknę, dreszcz mnie przechodzi, serce bić ustaje...

Piastunka mówić jej dłużej nie dała.

Szepty możeby się przeciągnęły jeszcze, ale Bertochla drzwi otworzyła, wniosła drugi kaganek, postawiła na ławie, a sama dla siebie ślać poczęła u drzwi.

Chciała pozostać na straży, dopóki Pan nie

przybył. Ale kury piał, zamek się rozlegał pieśniami, książę Bolesław z Wojewodą gospodarzyli ziemian goszcząc, a o Przemku nie wiadzano gdzie się podział. Myślano, że był u żony.

Przekradał się właśnie, niepostrzeżony chcąc wymknąć się z podwórca, gdy na drodze spotkał Zarębę... Ten mu od wrót zaszedł — i z poufałością dawną zapytał:

— Dokąd miłość wasza?

Przemkowi oczy się zaiskrzyły i popchnął go, Zaręba nie ustępował.

— Na miłego Boga — wołał — miejsce wasze gdzieindziej, nie za wrótami! Zobaczą ludzie! co pomyslą, co powiedzą. Żonie i sobie wstyd uczynicie!

• Książę coraz gniewniej unosząc się, rękę podniósł na niego.

— Tyś tu panem czy ja! — krzyknął — idź mi z drogi zaraz precz...

Zaręba do nóg mu się schylił.

— Co robicie? — wołał poruszony — co robicie?... Godziź się to.. Ludzie zobaczą.

— Puszczaj! — powtórzył miecza dobywając Przemko — puszczaj albo ubiję!

Zaręba namarszczony musiał się cofnąć, ale twarz mu się zaczerwieniła gniewem, brwi ściągnęły. Książę odepchnąwszy go, poszedł do wrót i — zniknął.

Noc była ciemna, zdawała tylko błyskało gdzieś

na niebie bez chmur. W zamku i na podwalach lud się snuł około beczek, pił i śpiewał piosnki o chmielu i weselu.

Księżciu łatwo było niepostrzeżonemu przecisnąć się przez ciżbę opila.

Rozpychając, potracając, nie patrząc nawet przed siebie, jak szalony biegł wprost do dworku Krywichy, którego okiennica stała otworem dla skwaru, a we wnętrzu się świeciło. Do drzwi mu było za daleko, tak niecierpliwy biegł, dopadł niskiego okna i skoczył przez nie do izby.

Krzyk się dał w niej słyszeć.

Z posłania, na którym leżała niemka, zerwała się nóż pochwyciwszy zawsze pod ręką leżący, ale poznawszy księcia, rzuciła go na ziemię i zawiśła mu na szyi.

Nagle, jakby opamiętawszy się, popchnęła go od siebie.

— Precz! ty! przeniewierco! — krzyknęła.

Przemko ręce ku niej wyciągnął.

— O! widziałam cię — mówiła głosem namiętnym — widziałam jak jechaliście bok w bok z piękną panią bladą. Masz żonę! masz żonę! Precz ztąd!

Książę cisnął się ku niej, Mina łajac już go nie odpychała — siedli razem na łożu.

— Widzisz — rzekł Przemko — porzuciłem ją samą a przyszedłem do ciebie. Czy ci tego jeszcze mało? Wyrwałem się choć tam za mną śledzą.

To żona narzucona.. ja nigdy jej kochać nie będę, nie mogę! Nie dla mnie ona! Niech w pustej izbie więdnije!

Mina patrzyła mu w oczy, na pół gniewna, pół rada, odpychała go i chwytala za szyję, cisnęła ku sobie i odwracała się. Łzy co błysnęły na jej oczach, od ich żaru osychały. Z drugiej izby Krywicha ukradkiem przypatrywała się przez szpary tej scenie, z jakąś zabobonną obawą, żegnając się i szeptając.

Książę jakby zapomniiał o zamku, o żonie, o świecie całym, pozostał przy Minie. Szeptali z sobą, śmiał się, poruszał żywo, odzyskał młodzięcżą rzeźwość... Niemka też przebłagać się dała, choć wracały jej jeszcze dąsy i groźby.

Krótką noc Lipcowa, już się ku końcowi miała, świtać poczynalo, gdy Krywicha w obawie jakiegś, otwarłszy drzwi, poczęła dniem straszyć.

Nie chciała, aby go tu wyszpiegowano.

— Wracaj Miłość Wasza, dopóki nie zadnieje, potem ludzie poznają!

Mina puszczać go nie chciała, ciągnąc prawie gwałtem. Zły musiał się jej wyrwać, korzystając z ранnego mroku, aby na zamek powrócić.

We wrotach zastał jeszcze Zarębę siedzącego na kamieniu, który głowę w ręce ująwszy na straży tu przetrwał, oczekując jego powrotu.

Zobaczywszy Przemka, nie odezwał się do

niego, nie wstał i dopiero gdy ten go szybkim pomiął krokiem, powlókł się za nim.

Wszedłszy do izb, w których mało już biesiadowało a więcej na ławach lub pod niemi legło, albo z głowami i rękami na stole, zasypiało, Przemko się zawahał. Myślał dokąd pójść, i zamiast do żony, zwrócił do swojej sypialni.

Tu czeladź także spała pode drzwiami odpoczywając snem potrójnym: znużenia, młodości i napoju.

Nie obudził się z nich żaden nawet, choć książę drzwi swe otworzył z hałasem, i jeden tylko Zaręba wsunął się za nim do izby.

Pan i sługa a dawny towarzysz — spojrzeli na siebie jak wrogi.

Przemko się nie odezwał do niego.

Zrzucił z siebie odzież niecierpliwie na ziemię. Widok człowieka co śmiał wstrzymywać go, sprzeciwić mu się, burzył go i gniewał.

Zaręba niezłękniomy, chłodny, stał i patrzył. Zdawał się czekać na rozkazy.

Niegdyś wyrostkami nganiali się z sobą, nieraz szli sił próbować, znali się jak zrosli w jeduem gnieździe, bo Zaręba mu chłopięciem do zabaw i posługi był dany.

Przemko rzucił się na posłanie.

— Hej! — zawołał rękę ściśniętą wyciągając ku niemu — jeśli ty mi raz jeszcze się ośmielisz!

— Żal mi i wstyd za was! — mruknął Za-

ręba. — Niewarta tego niemka, aby dla niej książęca córka łzy wylewała, a na was pluły ludzkie języki. Dajcie ją komu, niech precz idzie ztąd. Nieszczęście urośnie z tego.

Przemko obojętnie głowę sobie zakrywał.

— Milczże — odezwał się w końcu — milcz! Robię co chcę i czynić będę co mi się podoba. Tobie do tego nic — nie nikomu!

Zaręba popatrzał nań, zawrócił się milczący i poszedł precz.

W Przemku zuchwalstwo sługi wrzało gniewem, uspokoić się nie mógł i zasnąć. Obawiał się aby go stryj nie poszlakował, ludzie mu nie donosili, gniewał na siebie i na wszystkich...

— Narzucili mi żonę! — mruczał przewracając się na łożu — będzie miała izby książęce i imię książęce, ale mnie nie będzie miała. Kto mnie zmusić może abym tego trupa miłował?

U drzwi zaszeleściło coś, zerwał się książę. Z kagankiem w ręku wchodziła czy spodziewając się czy nie wiedząc że go tu znajdzie, Bertocha. Spostrzegłszy go zaśmiała się szydersko.

Przemko marszczył się już.

— Nie potrzebuję nic — zawarczał — precz idź!

Bertocha głową potrząsa wskazując ku izbom Lukierdy, że tam jego miejsce było. Książę usta dumnie podniósł.

— Ty idź tam! — rzekł — idź! pilnuj! Spocznę...

Baba miała coś jeszcze do powiedzenia, uśmiech dwuznaczny przebiegł po jej wargach, obejrzała się do koła po izbie kaganek podnosząc i z wolna próg jej przestąpiła.

— Niedawno wrócił, — zamruczała — a gdzie był, to ja wiem!

I musiało tak być! Ta go nie puści!

V.

Gody w Poznaniu trwały całą niedzielę. Ziemian przyjmowano, którzy nietylko z okolic, od Kalisza i Gniezna, z Kaszub i dalszych stron przybywali z podarkami i winszowaniem. —

Książę kaliski więcej tu gospodarzył niż sam pan, który okazywał się tylko, gdy go wyciągnięto razem z młodą panią, zawsze bladą i zléknioną. Znikał potem on i ona, a stryjowi zdało się, że przy żonie być musiał.

Tam on w istocie mało kiedy i krótko gościł.

Przychodził czasem jak z musu, milczący i chłodny, siadał z dala, pytał sługi, czy wszystko było jak potrzeba dla księżnej.

Czasem coś przykazał Bertosie, przemówił sło-

wo do Lukierdy, która mu nieśmiało i cicho odpowiadała i co prędzej wychodził.

Widząc trwającą tę obojętność, Orcha zalewała się łzami, ale składała ją na to, że i Lukierda nadto była nieśmiałą, a mało mu serca okazywała.

Bertocha pilne na wszystko mając oko, urządziła zawsze tak, aby Przemkowi dogodzić, uwolnić go co rychlej, a Lukierdzie dać uczuć, że bez jej pomocy męża sobie nie pozyska.

Rachuba jednak na skutek tej groźby, chybiła. Powzięła więc ochmistrzyni nienawiść wielką i do pani i do Orchy, której pozbyć się postanowiła.

— Dopóki to babsko tu siedzieć będzie, ja nie nie zrobię — mówiła sobie, — pozbyć się trzeba czarownicy.. Po co nam tu obca, albo nas sług mało? Czy to nam wiary nie dają?

Na zamku był zjazd jeszcze i książę Bolesław do Kalisza nie powrócił, gdy zabiegliwa Bertocha weszła do niego jednego rana.

Nie lubił jej stary, podejrzewając o pomoc w miłostkach, ale baba przypochlebiać się umiała.

Wsunęła się do izby pokornie, z twarzą posępną.

— A, co tam powie Bertocha? — ozwał się książę. — Możem wam nie piękną dał młodą panią? A co?

— O! miłościwy książę — przemówiła sługa — nie ma co przeciw niej powiedzieć! Piękna pani i młoda, bardzo śliczna, a co po tem, kiedy ona z mężem.. przystać jakoś do siebie nie mogą.

Pokręciła głową.

— Jakto? — podchwycił Bolesław — czemu?

— Albo ja wiem! Niech miłość wasza kogo chce pyta! W tem jest jakieś licho, czar jakiś, zadanie. No — bodajbym ja nie zgadła z kąd ono pochodzi, — ciągnęła głos zniżając tajemniczo Bertocha. — Ja, proszę miłości maszej, nie darmo lat tyle żyję na świecie; znam dużo i przeczuję...

Zbliżała się coraz do księcia, przybierając smętną a wielce zakłopotaną minę.

— Po co księżna tu z sobą przywiozła piastunkę starą? To jest czarownica! Z oczów jej to patrzy! Do kościoła nie chodzi — ziołami jakimiś panią poi...

Książę słuchał z obawą razem i niedowierzaniem.

— Tej baby się potrzeba zbyć koniecznie, szepotała Bertocha. Ma swoją mądrość! Dziecka żaluje, dla tego od niej męża odpycha.. prawda, księżna słabowita, wątpi, ale takim małżeństwo służy, a póki ona tu — nie nie będzie. Jam tego doszła, że ona ich zdala trzyma od siebie... Zazdrosna zwyczajnie jak piastunka. — Odstreć

ją od męża.. Trzeba starą przepędzić, zaraz będzie inaczej...

Bolesław słuchał uie dobrze rozumiejąc. Ber-tocha widząc, że go przekonać było trudno, tem mocniej zmagala się na dowody przeciwi piastunee, że z niej wszystko zło było.

— Na co jej baba ta! Dosyć nas jest, obcych uie potrzebujemy...

Ostrożny książę, nie jej odpowiadając, dał się wygadać, i odprawił. Stary Lukierdę miłował bardzo, choć ona do niego śmiałości nie miała, obawiając się jak wszystkich.. Rozmyśliwszy się Bolesław sam poszedł do niej.

Rano było, księżna tylko co z Orszą wróciła z zamkowego kościoła. Dwoje dziewcząt stało u progu. Książę wszedł ciekawie przypatrując się piastunee, którą widział już wprzód, nie bardzo zważając na nią. Teraz pomarszczona, stara, smutna i twarz jej mocno w nim ciekawość budziła.

Bladość Lukierdy, która na widok wchodzącego drzeć zaczęła — uderzyła Bolesława.

— Dziecko moje, — rzekł przystępując ku niej, łagodnie — cóż wam tu u nas źle, że tak bialo wyglądacie? prawda i z tem wam pięknie, ale ja bym rad widzieć u was na lieu, rumieniec i wesele.

Wahała się z odpowiedzią Lukierda, gdy

Orcha, nisko się pokłoniwszy odważyła panią zastąpić.

— A! proszę miłości waszej — nie łatwo to choćby do szczęścia a do nowego przystać! Starego się zawsze żałuje. Tak i mojemu kwiatkowi, a takie to młode!

Książę słuchał, patrząc wciąż na Lukierdę, która oczy spuściwszy, odpowiadać mu nie śmiała.

— Teraz jeszcze na zamku tłumno i gwarno — odezwał się — Przemko gości swych zabawić musi. Rychło się to rozjedzie, boć już czas, zostaniecie sami. Dzięki Bogu wyprawy pilnej nie ma, poznać się lepiej, weselej się stanie.

I na to nie umiała nic odpowiedzieć młoda pani, a Orcha patrząc w oczy staremu poruszała ustami.

— Dajcie czas! dajcie czas! miłościwy panie — szepnęła. — Wszystko się dobrze złoży! Łroga niebożatko zmęczyła, bo to słabe, bo to młode... Tu wszyscy obcy, niech się rozpatrzy a ośmieli...

Pzemko, któremu oznajmiono, że stryj był u jego żony, wszedł niespokojny, jakby się rozmowy tej sam na sam obawiał.

Groźno od proga spojrział na Orchę, oczyma jej nakazując ustąpić.

Dla stryja przybrał oblicze wesole, i do żony się zbliżył.

— Pilnuj mi ty jej i strzeż a miłuj — odezwał

się stary — żeby prędzej ośmieliła się a panią tu poczuła i rozkwitła znowu...

Złekka popechnął go ku żonie, którą Przemko ujął za rękę, drzącą i zimną. Patrzył na nią z wymówką i jakby pogroźką, ale Lukierda spojrzenia tego nie spotkała, bo oczów od ziemi nie podnosiła i przemówić nie śmiała.

Litując się jej a sądząc, że się go wstyda, Bolesław zabrał się do wyjścia, samych ich chcąc zostawić. — Przemko z przymuszonym śmiechem pożegnawszy żonę pośpieszył za stryjem.

— E! twoja wina czy nie — rzekł Bolesław za drzwi wyszedłszy, ale smutna ona jest — zabawiać ją potrzeba.

— Tęskni za dziadem i za swemi — odparł Przemko. — Płasów nie lubi. — Dziś turniej będzie, to mu się przypatrzy i rozerwie.

Sług też ma dosyć, jest komn i pieśni śpiewać i baśni prawić.

Mówił żywo, roztargniony, niespokojny, więcej dla uludzenia stryja, niż by go to wiele obchodzić miało.

— Piastunkę tę starą — dodał — wypadnie precz ztąd wysłać do Szczecina, bo ona jej dziada przypomina, i głowę smutkami nabija.

Nie na to nie odpowiedział stary książę i poszli do ziemian...

Po stole, do którego księżnę przyciągnięto, zabierało się na turnieje w podworeu zamkowym.

Nie pierwsze to już były czasu wesela, ale te najuroczystsze i najświętniejsze być miały.

Księżna sama miała nagrody rozdawać, a po nich, jak zwykle, następowały pląsy i do późna biesiada a śpiewy. Bawilo to niewiasty, gdy się przypatrywały zapasom zręcznej młodzieży, rzadko się kończącym tragicznie.

Padali z koni niektórzy, czasami z ranami od włóczni lub nabitemi guzami, zabitych mało bywało i to chyba z przypadku.

Sam książę Przemko miał wystąpić dnia tego w szranki; było i Niemców kilku, a Zaręba i Nałęcz sposobili się także do boju, bo do najzręczniejszych należeli.

Zabawie tej księżna odmówiła przytomności swej, opowiadając się chorą. Księciu na gniew się zebrało, chciał ją tu mieć koniecznie. Poszedł sam...

Orcha przy łóżku jej siedziała. Zapytał, zaburczał wszedłszy Przemko, okazał gniew, usłyszał płacz, i wyszedł nie nalegając.

Bertocha czatowała nań w progu.

— Nie chce księżna iść! — zawołała. — O tak! Jej tu i tej starej wiedźmie wszystko złe... nie nie w smak! Na nmyślenie na przekor położyła się do łóżka. Zrana zdrowa była, gdy do kościoła chodziła... Póki przy niej ta czarownica jest — wszystko tak iść będzie...

Precz potrzeba wygnać tę starą.

Niechno ja przy niej zostanę, będzie wszystko inaczej.

Ale Przemko nadąsany słuchać jej nie chciał. Turniej odbył się bez księżnej.

Księżciu na nim nie bardzo się poszczęściło. Sam on przeciw sobie kazał wystąpić Zarebie. Starli się w szrankach tak nieszczęśliwie iż książę został z siodła podniesiony, zachwiał się i o mało nie upadł.

Przeciwko prawom szrankowym, niemiec podbiegłszy, podparł go i zsunąć się nie dał. Przemko w tej chwili, Zarebę niespodziewającego się już ciosu pechnął tak silnie pod pachę, że z koniem razem go obalił.

Zwyciężył w prawdzie, ale widzieli wszyscy iż Przemko nie praw był, a gdyby się to innemu trafiło, Sędzia by go potępił. Uszło to panu; ale sam on czuł się pokonanym i gniew przeciwko Zarebie wzmógł się jeszcze.

Stłuczonego mocno wyniesiono ze szranków dworzanina, który słowa nie rzekł, ani się po-skarżył.

Nadbiegł zaraz przyjaciel Nałęcz, i powlekli się, gdy do siebie przyszedł, razem do izby, którą na zamku zajmowali. Kulał Zareba nie mówiąc nic i nie narzekając na to, że go pokrzywdzono.

Trzeba było zaraz rozdziać go ze zbroi i zwołać babę, ażeby radziła na silne potłuczenie.

Rany wprawdzie nie było, ale krew nabiegła

i zsiniała w miejscu, na które padł ze zbroją ciężką. Bolało ciało całe — nie stękał, usta ściąwszy, bo mu więcej co innego dolegało. Z tem się odzywać nie śmiał.

Kochał dawniej księcia a teraz doń tracił serce z powodu płochości, a i gniewne uderzenie przeciw prawu, oburzało go.

Nałęczowi o tem mówić nie potrzebował, bo ten go zgadywał...

W milczeniu druh krzątał się około pobitego, chłopca posłano po babę, gdy drzwi otwarły się z trzaskiem i Przemko do izby wpadł sam, jeszcze jak stał we zbroi.

Na głowie tylko hełm nie miał, i twarz na którą spojrział Zaręba, wydała mu się zmienioną dziwnie.

Przemko zawsze dumnie i pańsko się stawiał, nigdy go jednak takim nie widzieli. Szedł, gdyby majestatem jakimś odziany, piękną twarz namarszczywszy.

Staął nad leżącym, w bok się ujął i począł mówić zwolna.

— Słuchaj, Zaręba, a nieszkodzi żebyś i ty (tu na Nałęcza wskazał) — także ucha nadstawił. Co było między nami za młodu, gdyśmy wyrostkami biegali po podwórcach, to było i skończyło się. O tem pamiętajcie. Jam tu dziś panem i przede wszystkim chcę by mnie szanowano! Nikt mi nie ma prawa nauk dawać za to co czy-

nię, okrom księdza na spowiedzi. Kto mi się w najmniejszym sprzeciwi, tego tu cierpieć nie będę. Nie zapominaście, że starego Mieszka krew we mnie płynie.

Panem chcę być, a jako pan wszędzie górę mieć muszę — i na turnieju! Dla pospolitego człowieka goniąc z koniem paść, niesławy nie ma, książęcin na nragowisko ludzi być zwyciężonym — nie godzi się... Powiesz, że prawa turniejowe zachowane nie były — dla mnie praw nie ma — ja prawą daję!...

Wynagrodzę cię Zaręba!

— Rycerzowi za niesławę się nie płaci! — odparł leżący.

— Ja mówię, że niesławy nie ma! — odparł książę. — Nagrodę turniejową odstąpiłem dla ciebie — ale mnie paść nie przystało!

Zaręba westchnął.

— Dobrze to ze mną, — rzekł — com W. Miłości sługą, ale w innym turnieju a w wojnie, losy niepewne. Daj Boże, aby i tam Was niennice jaki podtrzymał.

— Ty sam — odczwał się książę, — gdy ci żal ten odejdzie trzymać mnie będziesz. Dziś sierdzisz się i gniew ci rozum odejmuje. Potem ci serce do mnie powróci.

To powiedziawszy wyszedł książę, a dwaj przyjaciele zostali sami, i długo siedzieli milczący.

— Dawniej lepszym był — rzekł w końcu Zaręba, teraz inn się na wielkie państwo i dumę zebrało. Kto wie, przyjdzie może ze dworu iść precz, gdy wyżyć z nimi będzie trudno.

— Precz? — zapytał powolny Nałęcz — a toż gdybyś ty ztąd musiał i jabym za tobą się powlókł. A dokąd-że?

— Albo to ich mało? — odparł Zaręba. — Młodym, rycerskiego rzemiosła a dobrego rodu ludziom, wszędzie radzi. Leszek przyjmie, w Krakowie też powinowatych mamy, a i na Ślązku się znajdują, choćby i na Mazurach. W ostatku i u Mszczuja na Pomorzu.

— Gdzie ty pójdziesz, tam i ja z tobą — dodał Nałęcz — o tem niema co i mówić. Ale mnie tego zamku a bodaj i księcia żal będzie. Zawsze człowiek tu jak w swoim gnieździe się czuje.

— Prędko to gniazdo niewygodnem się nam stanie — zawolał Zaręba. — Od czasu jak tę niemkę wziął, a potem mu żonę dali, stał się Przemko innym człowiekiem. Widziałeś go przed chwilą jak tu stał, rzekłbyś inny a nie ten com go nieraz za kark chwyciwszy dusił.

Rozśmiał się.

— Pójde ztąd — dodał bez namysłu — ciężko mi, nie strzymam. Wiesz czemu?

— Któż cię zgadnie! — szepnął Nałęcz — u ciebie po głowie zawsze ptaszki latają.

— Smiej się kiedy chcesz, albo i łaj — mówił Zareba. — Nie będę mógł długo patrzeć na tę młodą panią, cośmy ją tu przyprowadzili. Żal mi jej okrutny! Oni ją tu zamęczą. Żywej duszy litościwej dla siebie nie znajdzie.

Przemka Niemka, która mu coś zadała, nie pnie tak łatwo, a tę niewinną panią złe babska zadreczą. Słyszałem już, gdy się niepoczciwa Bertocha odgrażała, że jedyną jej piastunkę, którą przywiozła ze Szczecina, wypędzi precz... Zostanie sama — gorzej tu jej będzie niż niewolnicy... Ja na to patrzeć nie chcę!

— A cóż pomoże gdy ztąd pójdziesz? — odezwał się Nałęcz. — Kiedy ci już tak na sercu los tej pani, lepiej żebyś jej tu pilnował i pomagał. A no — tu się zaciął poczciwy Nałęcz — dajbyś temu pokój! Ludzie z tej litości co innego zrobią i jej z tem będzie źle i tobie gorzej być może...

Zamyślił się Zareba długo.

— Kto wie? słuszność masz może. Zostanę do czasu, zdam się na coś, posłużę... Żal mi tej pani nieszczęśliwej.

— Mnie też jej żal, bo ona tu nie na gody przybyła — dodał Nałęcz — ale co nam się mieszać w sprawy książęce i palce kłaść między drzwi...

Ustała rozmowa.

Ostatni dzień jeszcze turniejów pozostawał,

którego Zaręba świadkiem być nie mógł i nie chciał. Ale, że go ciekawość brała, jak też wypadnie, Nałęcza posłał, który gonić sam nie miał i jako świadek tylko stanął przy sznurach szrankowych.

Przemko doświadczywszy, iż łatwo w turnieju sromu napytać, przez dumę nie chciał już iść z nikim zawody.

Tego dnia jeden wszystkich prawie zwyciężał i najwięcej nabrał nagród i wianków. Był nim młody, bogaty ziemianina syn Jakób Świnka.

Powracał on ze dworu Cesarskiego, na którym czas jakiś przebywał; zamierzając teraz wkrótce się udać na dwór króla Francyi, i do Włoch, aby więcej zobaczyć świata. Jedynak u ojca, piękny młody, silny, odznaczał się też, co naówczas rzadkiem było wychowaniem takim, iż równie na kleryka zdać się mógł jak na rycerza.

Mówiono o nim, że oprócz rycerstwa, mądrość wielce miłował i księgi rad czytywał. Śmiano się nawet z tego upodobania, bo w Niemczech zwłaszcza, choć który z rycerzy czytać się nauczył przypadkiem, i podpisać umiał — sromał się do tego przyznawać.

Nie rycerska to rzecz była a klesza.

Klechę nazywać młodego wojaka obelgą było. Przecież Jakób Świnka wcale się tego nie wstydział co umiał Książę śmiejąc się wróżyli mu, że

chyba sukienkę ich oblecze. On się z tego śmiał też, bo młodym będąc weale o t'm nie myślał.

Z dowcipu i rozumu, choć jeszcze pono lat trzydziestu nie miał, czeili go nawet starzy. Bystrość miał myśli wielką i nie mniejszą śmiałość w słowie.

Jedno mu tylko zarzucić było można, że do polskiego zamaszystego, gardlującego ziemianina pospolitego weale nie był podobnym.

Wziąć go było można za włocha lub franenza, chociaż językiem swym doskonale mówił i wołał nim rozmawiać niż innemu. Na dworze Cesarskim gładkich nabrawszy obyczajów, choć czasem swojskiej rubasznosci zażył, umiał ją tak okraszyć, że pewny, osobliwy wdzięk miała.

Lubował się nim wielce książę kaliski, stary Biskup i inni panowie.

W turniejach okazał zręczność nadzwyczajną i siłę, ale oboje sobie lekcewżył. Gdy go potem, jako zwycięzcę blisko książąt posadzono, bawił się opowiadaniem o dworach i obyczajach, które widział.

Bolesław słuchając jak o wspaniałościach obcych monarchów mówił, westchnął i dodał:

— Byłoby i u nas inaczej, gdyby się tu kraj wielki nie porozpadał na części tyle, i nie narosło nas małych książąt jak murówia. Dawniej było lepiej, za starych Mieszków i Chrobrych,

bodaj za Szczodrego. Od niego poszło nieszczęście pierwsze gdyśmy koronę utracili, a od Krzywoustą co państwo na male działy pokrajał...

Da Bóg, trzeba do pierwszego powrócić!!

— Tak ci jest pewnie, miłościwy książę — odezwał się rzeźko Swinka — święte słowa wasze. Niech tylko jeden kilka dzielnie zagarnie, reszta się do niego przyłączy... Królem go zaraz ukoronujemy.

Przemko uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Dobrą to rzecz pomyśleć — rzekł — ale dokonać inaczej jak przez krew nie można, a krew i koronie błogosławieństwa nie przynosi.

— Gdy Bóg zechce a zrządzi, i bez krwi się obejść może — dorzucił Swinka. — Ot, miłość wasza macie już Polskę większą, Bóg da weźmiecie co z Pomorza...

— Da mu Mszczuj pewnie dziedziczyć po sobie — przerwał Bolesław żywo — a ja mu Kaliskie zostawię...

— Kraków i Sandomierz też bezpańskie pono zostaną — mówił Swinka dalej -- bo się o nie wieln chyba dobijać będzie po bezdzietnych...

Łatwo przyjdzie ich dostać, a tak naszemu Pannu, jak nie, może przyjsć królestwo do rąk i korona na skronie...

A! — zawolał rozochocony Swinka — zaraz go w Gnieźnie ukoronujemy. Chowają tam w skarben

ów sławny Szczerbiec Chrobrego co mu go Anioł przyniósł z nieba i koronę starą Chrobrową...

Przemkowi uśmiech dumy przeleciał po ustach.

— A no, dobrze tak! — rzekł szydersko — ino wy zostańcie Arcybiskupem, abyście wy mnie ukoronowali!

Jakób i wszyscy śmiać się głośno zaczęli, bo patrząc na młodzieńca rycerskiej postawy, który właśnie na turnieju wianki zdobywał, zdało się jego Arcybiskupstwo równie do wiary niepodobnem, jak żeby rozbite państwo na nowo zjednoczyć się miało.

Słyszając śmiechy te Jakób zamilkł, usta mu się też złożyły jak do uśmiechu, i po tych jasnych myślach osmutniało nagle wszystko. Bolesław zadumał się.

— Daleko jeszcze do tego! daleko! — zamruczał — lecz Bóg wielki jest i cudowny. Karze on nas i chłoszcze, a gdy za grzechy odpokutujemy, zlitować się może...

— Amen! — dokończył sędziwy Biskup Poznański.

Długo w noc gwarzono przy stołach dnia tego, nazajutrz ostatek gości już się z zamku wybierał. Jakób Swinka jechał też dalej za granicę, gdzie co poczynąć miał nie spowiadał się. Domyślano się, że wszelkiego rycerstwa próbować chciał, bo miał wielką świata ciekawość.

Nie uszło to oka ks. Bolesława, że Przemysław dla młodej żony oziębłym był. A choć z tych dni pierwszych nie jeszcze wnosić nie godziło się, gdy nazajutrz się żegnali, a on odprowadzał go jak ojca, przy koniu idąc aż do wrót, pochylił się doń stary i rzekł.

— Patrzaj ażebyś z tą żoną jaką ci Bóg dał, żył w miłości i zgodzie, jako ojciec twój z Elżbietą, jako ja z Jolantą. Taką ją mieć będziesz jaką sobie uczynisz, bo niewiasta posłuszną jest, gdy miłuje i w ślad idzie za panem swym.

Dziecko to jest jeszcze, dobre i łagodne — będziesz ty dla niej miłosiernym i wiernym małżonkiem, ona ci też żoną zostanie dobrą... Niech Bóg wam błogosławi.

Przemko wysłuchał nauki tej w milczeniu, usta zagryzł, a gdy na zamek powrócił markotno mu było, że go stryj napominał, bo teraz nawet od niego nauki żadnej nie chciał znosić, a słowa Bolesławowe znaczyły, że stryj o nim powątpiewał.

W kilka dni potem już Mina z dworku na podzamczu przeniosła się na zamek. Dano jej izby przednie, Bertocha ją tak samo w opiekę wzięła jak księżną, skłaniając się więcej ku tej, do której księcia namiętność ciągnęła.

Obie niemki lepiej się też rozumiały.

Najpilniej było Bertosie naprzód starej pozbyć się piastunki, codziennie więc księciu powtarzała, aby żonie to zapowiedział, iż Orcha musi nazad

do Szczecina. Przewrotnej babie nie w smak była cicha i lagodna pomorzanka, smuła już różne sposoby, któremi się jej pozbyć mogła... Pomówić o zdradę, oskarżyć o miłość pokątną, wmówić w Przemka że chorą była...

Lukierda rozpoczęła swe życie niemal klasztorne, rada z tego i uspokojona, że ją mąż, którego się lękała, opuszczał i zaniedbywał.

Ułożyła już sobie tryb taki dni powszednich aby nikomu nie zawadzała: Z rana szła do kościoła, siadała potem do krosien, a Orcha przy niej, najczęściej na ziemi, nucąc stare piosenki.

Ile razy je tak zastała Bertocha, milkły obie i przy niej ani rozmawiały ni śpiewały, aż zła pokręciwszy się, odgrazając odeszła.

Przemko rzadko żonę nawiedzał, i jak byli obcy sobie dni pierwszych tak i teraz pozostali. On skarżył się, że miłości w niej ku sobie nie widział — lecz też jej najmniejszej nie okazywał.

Jednego dnia gdy Orchy w komnacie nie było, Przemko przyszedł do Lukierdy i zastał ją przy kądzieli, bo praść bardzo lubiła. Namówiony przez Bertochę zaraz gwałtownie wystąpił z tem, że baby piastunki na dworze niepotrzebnej chce się pozbyć, bo mu była podejrzaną i wstrętliwą.

Lagodna zawsze Lukierda, wypuściła z rąk wrzeczono, powstając żywo.

— Jedna tu ona jest co mnie miłuje — ode-

zwała się śmiało. — Weźmiecie ją odemnie, to mi życie zabierzecie. Póki sił mych błagać was będę, nie odbierajcie mi jej! nie odbierajcie! Ona mi drugą matką jest i była!

Przemko się nasrożył.

— Ja moje prawa mężowskie mam — zawołał, — które od macierzyńskich pierwsze są.

— Więc chyba śmierci mej chcecie!! — płacząc odpowiedziała Lukierda.

Książę gwałtownem jej wystąpieniem, którego się nie spodziewał, zawstydzony, litość uczuł wręścić nad rozłzawioną.

Pomyślał, iż ona winną nie była, iż mu ją narzucono, zamilkł; nie nalegał więcej. Sama jednak groźba wywołała płacz taki w biednej niewieście, iż nierychło go utamować mogła. Książę wyszedł, we łzach ją zostawiwszy. —

Orecha powróciwszy, gdy ją tak zastała rozplakaną i zbolaną, przestraszona chciała dobadać się przyczyny, lecz Lukierda nie powiedzieć jej nie chciała. Złożyła łzy na przestkach, jakiego doznawała zawsze, gdy mąż przychodził do niej.

Szpiegnąca Bertocha nadbiegła zaraz podpatrzeć jak się rozmowa skończyła, udając bardzo czułą i troskliwą około swej pani, choć ze złością na nią i Orchę spoglądała.

Książę później przez czas jakiś nie wznowił o piastuncę rozmowy. Troskliwa starnucha dla

dziecka swego wymyślała jakie mogła zabawy, więc wieczorami biorąc dwie lub trzy służebne i kilku poważniejszych dworzan dla straży wyprowadzała ją w pole i lasy sąsiednie. Lukierda tu dopiero odżywała przysłuchując się śpiewom wieśniaczym które lubiła, często przechodzące niewiasty zatrzymując i obdarzając, aby mogła pomówić z niemi, lub pieśni posłuchać, które jej pomorskie i kaszubskie przypominały.

Bertocha i z tej rozrywki winę uczyniła, śmiejąc się, że chłopów lubiła i że za żonę wieśniakowi nie księżęciu wiekiemu stworzoną była. Upodobanie to w prostaczych zabawach, wedle niej, pani takiej nie przystało.

— Na zamku jej źle, — mówiła, — a w polu na sianie, między prostą czeladzią — najlepiej. Tam ona i śmiech ma i wesołość, że i płaszać gotowa, a u nas się we łzach rozlewa. Parobka by jej trzeba i chaty a nie księcia na zamku.

Orcha jej do tych podłych zabaw pomaga! Włóczą się po okolicach, po lasach, a co tam czasu, tych przechadzek się dzieje, kto wiedzieć może??

Tak podszeptywała Bertocha złośliwie, a Przemko zamiast zakazać przechadzek, polecił jej surowo, aby księżnej na nich nie odstępowała.

Szła więc ciężka i tłusta Bertocha przeklinając panią swą. — Przy niej zaś wszystko milkło i smutniało. Wkrótce też dla chłodu i późnej je-

sieni musiały ustać te wycieczki i Lukierda w izbach się swoich zamknęła...

Jak ze wszystkim na świecie oswaja się człowiek, i ona zwolna obyła się ze swą niewolą...

VI.

Upłynęło dwa lata, albo raczej przewlokły się one ciężkimi krokami, wydając jakby wickami dwoma. Nie prawie nie zmieniło się na poznańskim zamku, Przemko ani się przywiązał do żony, ani od Niemki odwiązał, która coraz większą władzę nad nim zyskiwała.

Żołnierska córka lepiej przypadła do obyczajów młodego pana — przebierała się dlań po mężku i jechała z nim w lasy, a na łowach śmielszego i zuchwalszego nad nią nie było. Musieli ją drndzy zastaniać i bronić, bo się nieraz rzuciła na dziką, na niedźwiedzia, na wilka, nie bacząc, że sił po temu nie miała. Właśnie wówczas najwięcej ją miłował Przemko, gdy dokazywała tak dzielnie, gdy potem z dworzany

i łowcami słowy rubasznemi żartowała, nie rumieniąc się i nie wstydując niczego, nie dbając o ludzi...

Znając tę siłę swą Mina, używała jej i nadużywała, Przemko ulegał.

Czasami wybuchały kłótnie i spory gwałtowne, tak, że do razów przychodziło. Naówczas książę przez dni kilka do niej nie chodził, a ta w rozpacz i gniewie tarzała się po ziemi, zwłaszcza gdy jej doniesiono, że u żony był.

W końcu pokryjomu szła przekupiona przez nią Bertocha do pana, opowiadała mu jaką to wielką miłość miała Mina dla niego, jak bez niego ani jeść ani spać nie mogła, że się w końcu strąć albo utopić była gotową, a takiej drugiej nie znaleźć...

Skoro Przemko litościwszym się stał dla Lukierdy i poważniejszy się z tamtą, szedł do niej a przesiedział dłużej, popłoch padał na dwór niewieści, który pomorzanki nie lubił, poruszało się wszystko i spiskowało, aby pana z miłośnicą pojednać.

Zabiegali tak, że go w końcu do niej ściągnęli. Zaczynała się kłótnia na nowo, a kończyła czułością wielką.

Lukierda znów spokój odzyskiwała, którego pragnęła, bo lata przeżyte małżonków z sobą przejednać nie mogły. Ona czuła trwogę na widok męża, on miał wstręt do cichej, bladej istoty.

Mawiał czasem z pogardą, że w Szczecińskich wodach, rybę złowił, która zimną krew miała.

Gdy przychodził do niej z Miną się poważniejszy i dłużej zasiedział, boleśnie się z jej prostaczych obyczajów, ulubionych pieśni i mowy naigrawał.

Kraśniała słuchając i słowa mu nie odpowiadając Lukierda, łyzy się jej na krośna toczyły, a dojrzał je Przemko, to się i za płacz gniewał.

Z początku o owej miłośnicy na zamku mieszkającej nic nie wiedziała księżna — unyślnie o niej zaczęto Orsze rozpowiadać. — Piastunka swej pani donosić o tem niechciała, najgoręcej pragnąc zbliżyć do siebie małżeństwo. — Ale cokolwiek ku temu zrobiła, obracało się na przekorę...

Nie mogąc przez piastunkę księżnę zawiadomić o niemee, Bertocha, dobrawszy chwilę, sama do niej poszła z językiem. Uczyniła sobie twarz miłosierną, udała litość wielką, wzdychając i żaląc się nad losem pani, iż miłości męża nie miała. Po cichu zwierzyła jej, jaką tego była przyczyną.

Zarumieniła się słuchając Lukierda, chciała przerwać i nie dać dokończyć, ale Bertocha na swem postawiła i wyśpiewała wszystko, nawet że Mina była na zamku i kiedy książę do niej chadzał.

Gdy odeszła zapłakała księżna, a Oreha za-

stawszy ją we łzach, domyśliła się przyczyny. Powiedziała piastuncowi wiernie co słyszała.

— A! ja o tem dawno wiem! — zawołała Oreha — ale cóż nam radzić na to? Po co się tem męczyć! Ona tu od nas starsza!

W dziedzińcu potem raz przechadzającą się i pyszniącą pięknoscią swoją pokazała Bertocha Minę swej pani.

Lukierda więdła, bladła, chorzała, a ta kwitła jak róża, urągając się swą świeżą młodością zawezesunie starzejaccej pani

Na białej twarzyczce księżnej lzy poorały marszczki, oczy miała wypłakane, kaślała i ślała. Tęsknica ją dusiła. Zamykała nieraz oczy, aby choć myślą się przenieść na swój świat dawny wesoly i swobodny.

Wrócić do niego byłoby dla niej szczęściem największem, uciec pieszo, jak małżonka księcia Henryka Łysego — ale strzeżono ją pilno. Tu trzeba było sehnąć i powoli umierać.

W tym roku długo spoczywający książę Przemysław, któremu tęskno było, że wojować z kim nie miał, znalazł przecież sposobność wyniść z domu i rycerzy swych wyprowadzić w pole.

Henryk Łysy, Rogatką zwany, wichrzyciel, który nigdy spokojnie usiedzieć nie umiał, a rwał się po pijanemu, aby wyrwać z tej nędzy w jaką popadł, bo często konia pod siodło nie miał, chleba mu brakło, a miasta i ziemie za łada co

musiał zastawiać — zasiadł się na synowca Henryka Wrocławskiego, aby mu odebrać jego dzielność.

Zawsze się koło niego niemieckich łotrów a zbrojów kręcili gromady. Wypatrzone chwilę, gdy spokojnie Henryk w Jeleży siedział w nieobronnym dworze, nasłal nań Rogatka zgraję, która wywlokłszy z łóżka synowca, zawiozła go do Lehnia i tam posadzono w więzieniu Rogatka zaklął się, że go nie puści, aż mu ziem nie odda, które w spadku po Władysławie Biskupie zagarnął.

Na wieść o gwałcie tym i zdradzie, wszyscy książęta powinowaci ruszyli się w obronę uciekniętego Henryka. Szedł krakowski Pudyk, szedł z Kalisza Pobożny, Konrad z Głogowa, Władysław z Opola, musiał i Przemko z niemi.

Jak z jednej strony siły wielkie gromadziły się przeciw Rogatce, tak i on nie spał. Syna Henryka w pomoc wzięwszy, naściagał Misnian, Szwabów, Bawarów, Niemców różnego rodu. —

Brandeburezyk też z sasami swemi iść mu miał z posiłkiem, ale wzięwszy od Wrocławian pieniądze został w domu.

Przemko razem ze stryjcem orobozu ruszył na wyprawę. Z żoną ledwie się pożegnał, ale Mina puszczać go nie chciała, lając, że w cudze sprawy się miesza i przeciw Niemcom idzie. Nie to

nie pomogło, bo książę Bolesław prowadził go z sobą.

Było to na wiosnę, w sam dzień Ś. Jerzego, gdy się dwa wojska spotkały między Skoroleem a Procanem. Zdawało się z razu, iż polacy zwyciężą. Rogatka nawet tak się ulękł, iż pierwszy z pola nszedł, ale syn jego tak zajadle napierał na wojska sprzymierzone, którym jednego wodza i głowy brakło, że je pobil i książąt nawet poobrał do niewoli.

Przemko, który zapaleczywie walecząc wparł się z pulkiem swym w sam środek Niemców, pojmany zastal z ludźmi i rauny poszedł w moc Słazaków.

Jeden z żołnierzy zbiegły od Skorulea, przywiózł o tem do Poznania wiadomość. Zawiechrzyło się strasznie na zamku...

Wpadła ręce załamując Bertocha do księżnej z tą wiadomością. Doniesiono jej pono gorzej niż było, ulękła się, aby Przemko nie przyplacił życiem, a księżna nie zapanowała, stała się więc pokorną.

Lukierda przeraziła się tą wieścią, żal jej może było człowieka, choć ten jej strasznym był, nadszedł przecież zaraz kasztelan Sremski Sambor, uwiadomiony lepiej i uspokoił ją donosząc, że elciwego Rogatkę lada kawalkiem ziemi zagożdzą, a książę powróciwszy okup ten odzyska siłą.

Rany straszne nie były, uspokojono księżnę, czynić też nie mogła nic, na stryja zdając wszystko, który musiał Przemka ratować.

Weale inaczej wiadomość przyjęła Mina; jak tylko się o niewoli dowiedziała nie tracąc chwili, przebrała się po mężku, dobrała sobie ludzi kilku co się jej towarzyszyć ofiarowali, niemców samych, i tejeż nocy puściła się do Lignicy.

Niewola u Rogatki lekką nie była, bo ten nie zważał ani na dostojność, ani na powinowactwo, zamykał po lochach, głodem morzyć był gotów. Zły a zapamiętały, często nieprzytomny, mówił śmiejąc się, że aby z człowieka co wydusić, — potrzeba go dusić było.

Duszono też po najsmrodliwszych jamach pobranych więźniów, a Przemysławowi dostał się loch w Lignicy ciemny, w którym go niemcy dzień i noc strzegły.

Rogatka, który pierwszy uszedł z placu, teraz gdy mu się szczęście nśmiechnęło, odgrażał się, że więźniów głodem pomorzy, jeżeli mu grzywien i ziemi nie dadzą.

Niemka zasłyszawszy gdzie pana szukać miała, w kilka koni wprost puściła się do Lignicy. — Wiedziała jako i drudzy jak Rogatka żył, i przez kogo doń trafić było można.

Z niemcami się ngryzając po niemiecku, do tarła do zamku, w którym Rogatka się znajdował a że mu się powiodło, szalał lepiej niż kiedy.

Już zdala po zamku poznać było łatwo co się tu działo. Zbiegowisko ogromne najemnika zalegało do koła, lupy wrocławskie dzieląc, pijąc, grając w kości, a na rozbójniczą gromadę więcej niż na wojsko wyglądając.

Na wałach pod murami, na przedmieściach pełno było żołdactwa, które i zamek zajmowało.

Śmiała Mina gdy się potrafiła przedrzeć do środka, gdzie żadnegoładu nie było; — przedarła się też prawie gwałtem aż do izby, w której Łysy ze swą kochanką, grajkiem i blaznem pił a pokrzykiwał.

Zobaczywszy ją ni kobietę ni mężczyznę, bo do obojga była podobna; stary zrazu nie wiedział co poczynąć, patrzył na nią a patrzył. Ta wprost do Sonki Dorenowej podszedłszy, przy niej siadła.

Odezwała się do niej po niemiecku.

— Tyś jego kochanka — wskazała na Łysego, no — a jam też polskiego księcia ulubiona. Powinnaś mi pomóc...

Rogatka dosłyszał.

— Zjesz licha niżeli ty albo i sam djabeł mu pomoże — krzyknął. — A po co laź? ma to na co zarobił, niechaj łapę ssie.

Zaklął się po niemiecku. Tym czasem Mina po swojemu piękną Sonkę uchadzała.

Rogatka zżymał się niespokojny.

— Precz z nią ztąd! — wołał.

— No, to wsadź mnie z nim do więzienia —

krzyknęła niemka wstając — wsadź! będę siedzieć z nim razem!

— On żonkę ma, co tobie do niego?

— Jam mu więcej niż żona — odparła Mina. Słuchaj stary — i poklepała go po ramieniu — nie bądź zły... Ja go widzieć muszę.

— Oho! do jamy mu będą miłośnicę słał, ażeby lżej było siedzieć! Niedoczekanie! — zawolał Łysy poświstując.

— Mówże książe czego od niego chcesz! to ci dadzą!

— Czego ja chcę? albo to on nie wie! — krzyknął stary — ziemi chcę — musi mi jej dać dobry szmat... Mnie moja własna z pod nóg uciekła... synowcowie ograbili, lichwiarze w zastaw pobrali... Ludzie nademną nie mieli litości i ja nie będę jej miał nad nimi...

Niezrażona odpowiedzią tą Mina, zaczęła wrzaskliwie nalegać na niego, z napastliwością kobiecą... Sonka Dorenowa gorąco brała jej stronę.

— On ci tyle co inni nie zawinił — odezwiała się, wiecznie go trzymać nie będziesz!

— On wcale wam nie zawinił, pochwyciła Mina, stryj kaliski gwałtem go pociągnął z sobą. Niechże on teraz go wykupuje.

— Wszyscy oni jednej miary i warki u mnie gnić w lochu, pod nogami — wrzasnął kubkiem stukając Łysy. — Mnie należało panować na Wro-

clawia i na Krakowie i — wszędzie! Długom na to czekał, aż połapalem, niech siedzą...

Pogłaskała go Dorenowa uspokajając, gęślarz zaczął brzdąkać i podśpiewywać, Łysy popił i trochę się ndobruchał. — Posłyszawszy gędźbę, sam też nucić zaczął — na Minę patrzył szydersko i lubieżnie, a ta mu wzrokiem równie śmiałym odpowiadała.

Uczuła zaraz, że Łysy zaczynał łagodzić i skorzystała z tego.

— Książę, — odezwiała się śmiało — nie bądź dzikim, to wam nie przystało, puść mnie do mojego pana!

— Szkoda cię, ty kwiatku, żebyś w tym lochu gnila w którym on siedzi... tam tylko szczurom i żabom żyć! — zaśmiał się Rogatka.

— No, to go każ z lochu do izby jakiej przeprowadzić! — nalegała Dorenowa, może aby się pozbyć Miny i jej wejrzeń zalotnych.

Książę się za wasy targnął.

— E! wy, baby, wy baby! — zawołał — przez was to ludzie giną!

Odwrocił się do gęślarza.

— Graj, ty jucho!

Zabrzęczały struny, a Łysy zaczął wyśpiewywać poświstując.

— Ha! ha! — przerwał — Piosenki! piosenki! Henryczek synowczyk mój, ten to śpiewki składać umie. —

Niechajże teraz sobie zaśpiewa!

Zmógł powoli Rogatka — Minie kazał zrazu iść precz. Dorenowa się za nią ujęła, potem mru-gał do niej i dostał za to po twarzy, naostatek Sonka sama się rządząc za niego, zawołać kazała burgrabiego zamkowego i przy księciu rozkaz mu dała.

— Polskiego księcia z lochu wyprowadźcie do czarnej izby i ta (wskazała na Minę) niech do niego przystęp ma!

Wtem Henryk uderzył o stół pięścią ogromną.

— Ty! jakaś! co ty tu będziesz dawala roz-kazy?

— A będę! — zawołała Dorenowa — będę! Albo to ja mocy nie mam, kiedy i ty mnie słu-chać musisz! — Odwróciła się od burgrabiego.

— Słyszałeś! ja każę — i on musi to kazać, co i ja!

Łysy się po głowie musnął.

— Grajku! psi synu! graj że na pociechę!

Za odchodzącym burgrabią wybiegła Mina za-raz, wciskając mu pieniądze i racząc go dobrem słowem.

Szli razem ciemnymi izbami aż na tył zamku, kędy szyja kowanymi drzwiami zamykana, pro-wadziła do zimnego lochu. Minę gniew ogarniał. Otwarto drzwi, chciała się rzucić zaraz, ale w cie-mnościach nie dostrzedz nie mogła.. Przemko zo-

baczywszy światło, z barlogu się porwał, krzyknął i przypadłszy rzucił się jej na szyję.

Mina pochwyciła go wiodąc z sobą na górę.

— Chodź! chodź! to nie więzienie, a grób! — krzyknęła.

Burgrabia nie dał im tak iść, ujął księcia za rękę i sam postąpił naprzód. — Po wschodach idąc Przemko, ścisnął milcząc swą wybawicielkę.

— Cóż? swobodęś mi przyniosła!! — zawołał gdy wyszli na górę.

— Jeszcze nie! alem choć łżejsze w izbie wyprosiła więzienie — odpowiedziała Mina. — Łysy ziemi chce — daj mu byle cię puścił.

Przemko milcząc potrząsnął głową, stękał na ranę. — Gdy na jaśniejszy dzień wyszli, złękła się niemka ujrawszy go bladym, żółtym i wynędzniałym. Odzienie na nim było poszarpane i zbrukane, słomą obleple i brudne. —

Zamiast zapłakać, dziewczyna z gniewu na Rogatkę trzęsła się i tupala nogami.

Burgrabia wpuścił ich oboje do czarnej izby.

Zwała się ona tak i godną była swego nazwiska. Stęchliznę w niej czuć było, jedno okno głęboko w murze osadzone, słabo ją oświecało. Wiosenne ciepło jeszcze się w głąb tych ścian kamiennych nie dostało — zimno i tu było przejmujące.

Mina dała pieniędzy, aby dREW przyniesiono i naniecono ognia. Śmiała, napastliwa, rozkazy

wał: obcym ludziom, a ci słuchali jej, sądząc, że prawo do tego mieć musiała.

Przemko jęczał na ławę ległszy — niemka biegła, krzątała się, krzyczała... Patrzył na nią i mimo, że zboląły był, rozjaśniało mu się lice. Śmiałością swą — zabiegliwością brała go za serce.

W więzieniu samotnem przychodziły mu myśli różne, czuł sumienia zgryzoty, miał los swój terazniejszy za karę Bożą grzesznego życia, kajać się już był gotów, — w tej chwili pokutnicze zamysły poszły precz, Mina je czarnemi oczyma odegnęła.

Z jej przybyciem odzyskiwał nadzieję rychłej swobody...

Począł rozpytywać niemkę.

— Cóż ten niegodziwiec prawi! Widziałas go? Jakaś się tu dostała? Pytałaś go o mnie?

— Wyknpu chce, pragnie mu się ziemi, — powtórzyła Mina jak wprzód. — Ziemi! trzeba mu ją dać!

Przemko się nachmurzył.

— Ziemi nie dam, — zamruczał, — nie dam choćbym tu zgnieć miał. — Ziemia to nie moja...

— A czyjaż? — podchwyciła Mina.

— Pradziadowska, ojcowska! kto ją wziął po nich, ten powinien oddać w całości. Jam jej nie przyrobił, a miałbym obrywać! Nigdy!

Mina głową kręciła.

— Jeszcześ mało w tym gnilym lochu siedział, kiedy tak mówisz — odparła.

— Grzywny mu zapłacę! okup dam!

— Ale on i grzywien chce i ziemi, — zawołała niemka, a życie twoje droższe niż oboje... Co ci po ziemi, gdy w lochu siedzieć będziesz?

— Nie będę — odparł Przemko. — Nie doczekanie tego pijanicy, aby nas trzymał długo. Znajdą się tacy, co się za mnie i za innych upomną.

— Kto? Wszak pobił wszystkich? — wołała Mina.

— On? on pierwszy zbiegł z placu

— Syna ma lepszego niż sam...

Przemko westchnął ciężko.

— Ziemi chce! — zamruczał — ziemi nie dam! Nigdy!

Nie słuchając już go, Mina się kręciła po izbie starając się ją mieszkalną uczynić. Językiem niemieckim a śmiałością swą z ludźmi zamkowemi rady sobie dawała przedziwnie. Wchodziła i wychodziła nie pytając ich, jakby jej nikt pytać i bronić tego nie miał prawa. Kazał im sobie przynosić z pod zamku czego potrzebowała, słowem oswojona wnet znajdowała się tu jak w domu.

Żołdacy ją po korytarzach zaczepiali, odcinając im danie, gdzie było potrzeba dawała

pieniądze, umiała krzyknąć, zakląć jak żołnierskie dziecię, nie bała się nikogo

Przemkowi nowy dych do piersi wstąpił, ogrzał się, wyciągnął, napił, miał przemówić do kogo. Nierychło spytał co się u niego na zamku działo, — Niemka ramionami ruszyła.

— Co się tam ma dziać? — zawołała — Na Lignicę cię odbijać nie pójdą.. sił nie mają. Było was kilku na Łysego a nie zmogliście go, toć Wojewoda Przedpełk z Petrykiem się nie porwą na niego!

O żonę nie śmiał książe pytać, czekał aż sama mu coś może powie, jakoż Mina ozwała się.

— Lukierda wasza pono krzyknęła, dowiedziawszy się, że pan mąż w niewoli.. a teraz.. rada może, iż się was pozbyła... Znajdą się dworzanie co ją pocieszą...

Przemko surowo spojrzął na nią

— Cóż się to krzywisz? — dodała — wiadomo to, że dwór męzki bardzo tę panią kocha. Przed niemi słowa na nią bąknąć nie można, gotowi bronić — na mnie tylko psy wieszają!.

Przecie księżna tu was ratować nie spieszyła tylko ja...

Nazajutrz rano poszła Mina do Dorenowej, którą samą zastała. Łysy z grajkiem nie odstępującym go ani na chwilę, poszedł do Niemców swoich.

Lubił się z tem lotrostwem zabawiać, jak

dobry towarzysz, słuchać tłustych ich żartów, śmiać się, pić z nimi, a choć czasem którego, gdy go obraził, zbić kazał albo i obwiesić — Niemcy mu tego za złe nie brali. Włóczęgi te, obce sobie, nie tak się kupy trzymali, by jeden zbyt gorąco za drugiego się njmował.

Pół dnia tak czasem w podwórzu albo na wałach, na próżnej beczce siadłszy, grajka u nóg posadziwszy, trawił Łysy między żołdakami, dopóki mu się za Souką Dorenową nie zatęskniło, albo drzemać nie zachciało. Naówczas grajka z sobą ciągnąc, który go poprzedzał, na zamek powracał.

Zrana Dorenowa była sama, bo chłopiec jej, synalek już spory, urwisował też między knechtami. Leżała spoczywając a niewiasty koło niej jak przy chorej chodziły, bo sługami otaczać się lubiła, aby za księżnę uchodziła.

Opryskliwa, sroga, dziwaczna, dla pokazania swej mocy, dziewczki kazała chłostać, a dobrego słowa nikomu nie dawała.

Naśladowała w tem Łysego, który szydził, śmiał się, a nagle potem wściekał, bił i wieszał, gdy mu innej zabrakło zabawy.

Gdy Mina weszła, właśnie trzymała dziewczkę za kosę, a policzki jej czerwone świadczyły, że podniesiona ręka pół-księżnej nie próżnowała. Zobaczywszy obcą, popchnęła sługę i starszej co obok stała dała rozkaz, aby ją ochłostano.

W izbie kochanki książęcej było dosyć pokażno, bo się świeżych lupów część jej dostała; ale nie dawno jeszcze ściany były odarte, skrzynie wypróżnione, bo przed wojną wszystko pozostawiano.

Sonka rada była i dumna ze zwycięstwa Łysego, obiecującego, że się próżny skarbiec zapelni.

Zmiałkowała Mina, że kobiecie dumnej przypochlebić się trzeba było — przystąpiła więc do niej z pokorą i wdzięcząc się.

— Wyście tn, miłościwa pani, prawdziwa księżna — rzekła. — Winnam wam tylko, że mego pana z lochu dobyto, niechże Bóg wam za to zapłaci! Macie dobre, wspaniałe serce książęce! Wy u Henryka możecie co zechcecie!

— Pewnie, że zrobię co zechcę! — odpowiedziała śmiejąc się i podnosząc nieco Dorenowa, która włosy piękne, w nieładzie rozpuszczone, zawiązywała...

— A! jakie wy śliczne włosy macie! — dodała Mina. — Nie dziw, że wasz stary głowę dla takiej piękności traci, któżby nie oszalał dla niej!

Sonka uśmiechała się i pyszniła

— A! ty, pochlebnie! — mrnczała.

— Księżno ty moja, ciebieby i królową nazywać się godziło — ciągnęła dalej niemka — bądź do końca miłosierną jakieś poczęła! Dopomóż mnie nieszczęśliwej! Mnie trzeba koniecznie mego biednego pana wyzwolić!

— O! o! to trudno! — szepnęła Dorenowa — to trudno!

— A co dla was trudnego? jak wy inni się uśmiechniecie i pogłazdźcie pod brodę?

Sonka głową kręciła.

— Ziemi kawałek musi dać — rzekła — nie nie pomoże, na ziemię mój Henryk łakomy, bo mu już jej mało zostało... O! ziemi musi dać!

— Ziemia! ziemia! — zawołała Mina — co ona warta? grzywny lepsze.

— Grzywny — rozśmiała się Dorenowa — grzywny dla mnich, a dla niego ziemi szmat. Za wolność warto zapłacić...

— Grzywny dla was i dla księcia lepsze — mówiła Mina — co po ziemi, którą nieustannie strzedz trzeba a i ludzi pilnować!

— Musi ziemię dać! — potwierdziła raz jeszcze Sonka — nie nie pomoże... zaklął się Henryk, że bez ziemi nie puści...

Pochylone ku sobie dwie niewiasty szeptać poczęły, Mina mówna, żywa i śmiała przewagę miała nad otyłą, ocieźlałą i nie zbyt szczebiotliwą Dorenową. Rozstali się przyjaźnie z sobą.

Gdy książę napily, grajka wiodąc za sobą i przyspiewując do izby powrócił a Dorenowę kazał wołać do siebie, przyszła doń wystrojona, pogłazdziła pod brodę, siadła na łożu i poczęła za polskim księciem przemawiać.

Książę choć podpiwszy, jedno miał ciągle na ustach.

— Ziemi musi mi dać!

Od tego nie odstępował. — Tymczasem by się pozbyć uatętniej, grajkowi usypiającemu ze znużenia, kłatwami i groźbami coraz oczy otwierał.

Nie wymogła nie na nim kochanka, bo pomrukiwał ciągle.

— Ziemi i grzywien!

Skarbice u niego bogaty, ojciec skąpy był, na kościoly nie rozdał wszakiego, kaliski stryjek mu przysporzył mienia... Muszą dać!!

Sonka uamówić chciała, aby się jakim tysiącem grzywien dał wykupić, ale Henryk ogromnym kułakiem uderzywszy o krawędź łóża, zaklął się, że bez ziemi nie będzie nie.

— Każdy z tych jeńców musi mi dać po kawalku! Ani Czeski król, ani Cesarz nie pomoże, bo ja się ich obu nie boję, dam ich poćcinać, kiedy w ręku mam! Albo głodem zamorzę!

Głaskała go Sonka próżno, nie dał się ugłaskać.

Wkrótce potem wtoczył się Henryk Otyły, syn Łysego, zwycięzca, któremu ojciec zawdzięczał książąt uiewolę. — Krzyknął nań, aby do Przemka s'edł i ozuajmil mu, że bez ziemi się nie uwolni, a i grzywien dopłacić musi.

Otyły miał mir u ojca, a sprawa obu, jedną była. Silniejszy i trzeźwiejszego umysłu był. — Głową potrząsł

— Słuchajcieno, ojcze — rzekł powoli. — Dobra rzecz ziemi szmat wziąć i srebra.. ale jabym od Przemka wolał grzywuy. Da ci kawał wielkiej Polski, niepokój kupim sobie. I on i Kaliski będą napadali, tehnąc nam nie dadzą, aby wydrzeć nazad... Jabym mu okup sowity kazał dać.. i puścił do licha...

Sonka potwierdzała.

— Dobrze mówi! rozum ma!

Ale Rogatka łajać począł ją i syna — dopiero postrzegłszy, iż się gniewu nie zlekli, złagodniał.

— Da ziemi czy nie, a żądać trzeba — rzekł. — Mów, że ziemi chcę!

Grajkowi śpiewać kazał i zaświstał nutę, którą on pochwycił.

Otyły, zwolna powlókł się do czarnej izby. Od owego dnia, gdy ich w bitwie pobrał do niewoli, nie widzieli się z sobą.

Henryk młody był, rycerską, dzielną miał postać, ale przed czasem się roztył, a ojcowskie rozpasanie trochę na nim widać było.

Przemko ujrzawszy go wchodzącego, zadrgał całym, z ławy się nie podniósł. Gniew zwyciężonego zawrzał mu w piersi. Henryk powoli szedł ku niemu.

— A no! — rzekł — wysiedzieliście już pokutę.. czas by wam do domu... Młoda żonka na was czeka! Ojciec mnie tu posyła. Chcecie na swobodę? z niewoli darmo nie puszcza nikt!

— Okup dam — rzekł Przemko krótko i sucho.

— Ojciec ziemi chce — odparł Otyły.

— Ziemi nie dam! — prędko zawołał Przemko.

Będę gnił tu, a ojcowizny nie pokraję.

Henryk Otyły choć nie proszony usiadł przy więzieniu na ławie i w boki się ujął.

— A jak nazad do lochu wrznęą?

— Wola Boża — rzekł Przemko. — Wojna się raz powiedzie, drugi nie. Co jutro będzie nikt nie wie.

Otyły uderzył go po kolanie.

— Co grzywien dacie? — spytał.

Przemko zwrócił się żywo.

— Mów, co chcesz, dam, co zmożę.

Zaczął się targ między niemi. Mina stojąc w ciemnym kącie słuchała z natężoną uwagą. Stańło na grzywien tysiącu.

— Ślijcież zaraz do Poznania, aby wam je tu przywieziono albo za granicę, nie puścimy inaczej.

— A rycerskie słowo?

— Eh! eh! słowo wiatr! — rozśmiał się Otyły. Srebro na stół!

W tem Mina niecierpliwa wyrwała się z kąta. Ujrzawszy ją Henryk się rozśmiał, bo o niej pewnie słyszeć musiał i przypatrywał się ciekawie.

— Po grzywny do Poznania nie potrzeba! — zawołała. — Tysiąc grzywien znajdzie się i w Li-gnicy dla polskiego księcia!

Nie tłumaczę się więcej, przystąpiła do swojego pana.

— Gotujecie się do drogi! — rzekła wesolo — do jutra rana, ja okup zapłacę...

To mówiąc chwyciła zasłonę, pas ścisnęła i wybiegła drzwi za sobą zamykając z hałasem.

Od rana dla wygody przeczekała się znów po kobieccemu i pięknie jej z tem było...

Henryk Otyły wstał.

— Szatan nie baba — rzekł, — ale żeby w Lignicy dla was tysiąc grzywien znalazła! — wierzyć mi się nie chce.

VII.

W ciągu niewielu godzin, które na zamku Lignickim spędziła, Mina się już dobrze z ludźmi obeznała. Ując sobie potrafiła kilku z niemieckiej starszyszy, rozmówiła się z kasztelanem zamkowym, poznała z ochmistrem, dostała języka od Dorenowej.

Jak we wszystkich miastach polskich i polskoniemieckich podostatkiem było i w Ligniey żydów, którzy wszystkiem a najochotniej pieniędzmi handlowali.

Na nich rachowała Mina, że za dobrą lichwę, grzywny dla księcia dostanie.

Dorenowa wspomniała przed nią o bogatym Jocu, kasztelan jej mówił o możnym Judzie Levi. Na zamku znalazł się wojak usłużny, stary już zażyły tu niedołęga, który wisiał przy Rogatce,

choć mu się już na nie nie zdał, tylko do smagania nieposłusznej dworni.

Kulawy na jedną nogę, z okiem wybitem, ale silny jeszcze Hans ofiarował się Minę do miasta wieść, pokazać dom Joela i zaprowadzić do Judy.

Z zamku zszedłszy, powiódł ją krętymi uliczkami, w których gęsto stały dworki różne, tak nieporządnie poustawiane, żeby tu b z przewodnika nikt nie trafił.

Uliczki pełne były błota i śmiecia, kałuż, przez które gdzieśniedzie rzucona kładka elhwiejąca się, przeprowadzała na drugą stronę. Dworki wszystkie były z drzewa, tęgiemi wysokiem parkanami poobwodzone, bo żołdactwo dokazywało i broiło, musieli się więc mieszczenie mieć na ostrożności, dobre wrota stawić i parkany mocne...

Na maleńkich placykach widać było gdzieśniedzie szersze szopy, z miejską wagą targową (miednicą) z jatkami, przed któremi wisały mięsa ćwierci, obówie, pasy i odzież.

Na okiennicach wystających nieco leżały chleby, stały misy i żywność wszelka. Z pod nich wyglądała czasem głowa starej baby lub mężczyzny w czapce wysokiej.

Uboga ludność snująca się z rzadka, nie wiele się strojem i pozorem od wiejskiej różniła.

W kilku szynkach piwnych i miodowych słychać było pobrzękującą muzykę i okrzyki pijanych

żołnierzy niemców, których tu pełno było wszędzie. Tych sporo śpiewając włożyło się i w ulicach.

Kulawy Hans prowadził i prowadził tak daleko, że się aż sprzykrzyło niecierpliwej dziewczynie, ale co się obejrzała ku niemu, na przód wskazywał i tak dowlekli się aż do dworku ku walom przypartego, po nad którym para drzew starych szeroko się rozpościerała.

Tu parkany mocniejsze jeszcze były niż po innych zagrodach, brama dębowa ciężka, furta i okno nad nią jak po zamkach.

Zakolatał Hans i zakrzyczał, aż nierychło coś sunąć się i chlapiąc ku furcie przybliżyło. Ciężka rozmowa trwała znów długo nim, zamiast wpuszczyć do środka, nie wysunął się z furty człek chudy, mały, na pół zgięty, ubogo odziany brudny, z rzadką brodą siwą, którą białemi, kościstemi palcami przebierał

Nie miał on ani owej czapki rogatej, którą kazano się naówczas żydom odznaczać, ani po lewej stronie zwierzechniej sukni na piersi kółka czerwonego, jakie Synody żydom nosić nakazywały dla odznaczenia ich od chrześcijan, z któremi poufale obcowanie było im wzbronione. — Sama twarz starego zdradzała pochodzenie wschodnie. Garbaty nos, oczy jak węgiel czarne, cały krój fizyognomji był obcy, ni słowiański ani niemiecki. Żyd zaraz się cofnąć chciał nazad do domu, gdy Mina za rękaw wiszący schwyciwszy go, zawolala.

— Przychodzę do was od polskiego księcia Przemka, który tu siedzi w niewoli. Możecie u niego zarobić wiele.

Z niedowierzaniem wpatrzył się w nią stary i cmoknął.

Miało to znaczyć, że zarobku nikt nie odpycha.

— Nu — rzekł cicho — nu?

Mina mówiła dalej żywo, lękając się, aby jej nie uszedł, bo się ciągle na furtę oglądał.

— Książę się musi z tej niewoli przeklętej wykupić, pieniędzy mu potrzeba dużo, potrzeba prędko... W Poznaniu jest ich dosyć, ale słać nie czas. Kto mu je zaraz da, dostanie dobrą nagrodę.

Juda patrzył na mówiącą, jakby chciał ją na wskrós przejrzeć.

— Tysiąc grzywien srebra potrzeba! — dodała żywo.

Usłyszawszy to Juda pochwycił się za głowę i za długie dwa z obu jej stron zwieszone siwych włosów skręty...

— Któż taką straszną sumę pieniędzy mieć może! — zabelkotał.

Kulawy Haus, który się przysłuchiwał, uderzył go po ramieniu i rozśmiał się.

Juda drgnął i cofnął się

— Kto mu pieniędzy da, — mówiła Mina, — pojedzie razem z księciem... odbierze swoje i dostanie nagrodę, — nagrodę dobrą!

— Tysiąc grzywien! — powtórzył żyd zadumany — zład wziąć tyle srebra! Zbierać trzeba, chodzić trzeba... żebrać trzeba! Tysiąc grzywien! Dla naszego księcia! Ten będzie każdą grzywnę brakować, każdy grosz ważyć... — patrzeć czyj on i gdzie bity... — Srebro probować!!

— Nagroda będzie książęca! dodała Mina niecierpliwie.

Nastąpiła chwila milczenia i namysłu. Oczyma Juda pytał o tę nagrodę, zdawał się wątpić o niej, a razem jej pożądać.

Mina nalegała ażeby, jeżeli chce, sam nagrodę oznaczył. Pilno jej było.

Juda patrzył w ziemię, zżymał plecami. Wszystko to odbywało się pod wrotami, a choć układy przeciągnęły się, Juda nie miał ochoty wprowadzać niewiasty nieznanej do wnętrza.

Hans, któremu noga zboliała, sparszy się o furtę stękał.

Dzieweczyna po raz drugi domagała się o warunki.

Żyd westchnął ciężko, zaprzysiągł, że takich pieniędzy niema i nigdy ich nie miał w życiu, musiał by je chyba ściągać, szukać, pożyczać — a i tak, w całej Lignicy o tysiąc grzywien trudno było.

Mówiąc to jednak nie odchodził, nie zrywał rozmowy.

— Hans! — zawołała znieczcierpliwiona Mina,

zwracając się do żołnierza — prowadź mnie do Joela...

Usłyszawszy to imię Juda drgnął, zrobił minę pogardliwą

— A! tak! tak, — zamruczał — idźcie do Joela... idźcie! czemu nie? On wam ze dwadzieścia grzywien wyszuka! Pewnie! Joel! Czemu nie! U niego pieniądze rosną jak grzyby! Idźcie do Joela!

Mina ruszyła się z miejsca, żyd śmiał się.

— Nie mam czasu do stracenia! — zawołała.

— Tysiąc grzywien z palca wyłamać! — odezwał się Juda — na całą Lignicę tyle grzywien nie znaleźć! Na zamku u księcia dawno już dwudziestu nie widziano!

Mina już odchodzić miała, gdy Juda zlekka ją za suknię pociągnawszy, oczyma Hansa ukazał. Zrozumiawszy to dziewczyna, dobyła z kieszeni kilka sztuczek drobnych pieniędzy.

— Idźcie sobie gdzie na piwo, słabej nodze waszej odpocząć, — rzekła — ja się tu z nim poradzę, a przyjdźcie po mnie!

Rad groszom, które rzadko widywał, a i piwu nie mniej, bo je lubił, Hans żywo się ruszył, zagroziwszy żydowi na odchodnem, aby niewieście nie się tu złego nie stało.

Po odejściu starego ciury, Juda wprowadził Minę do zagrody, powiódł ją podsieniami krytymi w głąb i izbę otworzył. —

Mina znalazła w niej dwóch w czapkach na głowach siedzących nie młodych ludzi, ciekawemni mierzących ją oczyma. Gospodarz prędko do nich coś mówić zaczął i wprzód nim z Miną zagaił rozmowę, pilno a żywo naradzać się zdał z niemi.

Dziewczyna domyślać się mogła, że się między sobą układali o coś, nie zgadzali, sprzeczek i na nowo zbliżyć usiłowali. Jej pilno było, lecz ile razy chciała zagadnąć Jude, dawał jej znak aby czekała.

W izbie nie było nic, proste ławy i stół, a u ściany za zasłoną, jakby zwitki czy księgi.

Świecznik mosiężny dziwaczного kształtu wisiał u pułapu.

Rozmowa trzech żydów trwała dość długo, nareszcie jeden z nich wyszedł pośpiesznie, a gospodarz do Miny się zbliżył.

Zapowiedział jej, że grzywny z wielką biedą znaleźć się mogą, ale pismo na nie pod pieczęcią księża będzie musiał dać do Podskarbiego i półtora sta grzywien nagrody i kopę kun i sukna postaw i...

Różne były dodatki.

Mina ani mówić długo, ani się chciała targować, gotową była przystać na wszystko, przyjmowała warunki, a Juda coraz nowe dokładał. Nakoniec oznajmił, że pieniędzy jutro dać nie może, bo je zbierać musi.

Dziewczyna poguiewała się, Juda złagodniał

i po długich a nudnych sporach z nim, wybiegła nareście. Hans śpiący czekał na nią w bramie. Siedział na ziemi, plecami o parkan oparty.

Spieszyła na zamek tryumfująca i szczęśliwa.

Tym czasem Juda inną drogą przemyskał się na zamek także do Dorenowej, z którą był w dobrych stosunkach. Szło mu o to, ażeby książę, który mu kilkaset grzywien zawinił, pozwolił je stracić w wyplacie.

Ofiarował za to ulubienicy pierścieni, lecz Łysy na pierwsze o tem wspomnienie by miał dług swój placić, zaklął się, że prędzej żyda powiesić każe, niż mu jedną odda grzywnę.

Mina Przemkowi wiadomość pocieszającą przyniosła śmiejącą się i dumna.

— Patrz, — zawolała — kto z nich o tobie pamiętał? Ktoby to zrobił dla ciebie? Mnie nie komu winien będziesz swobodę!

Przemko ścisnął ją wdzięczny i uradowany, chciał się jednej godziny ztąd wyzwolić, ale czekać było potrzeba aż się grzywny zbiorą, Juda zaś zwlekał umyślnie, aby pokazać, że nie łatwo o nie było.

Łysy cieszył się, iż grosza dostanie, którego zawsze łaknął, grajkowi swemu rozkazując grać i śpiewać wesoło.. gdy sam świsnął po pijal.

Nazajutrz rano Judy długo nie było, a przyszedłszy kłech z sobą przyprowadził naprzód dla

spisania karty, na której Przemko miał swą pieczęć przyłożyć.

Pismo łacińskie musiano Judzie tłumaczyć i pokazywać, gdzie co stało, aż zawierzył, iż pargamin tak jak chciał był spisany.

Przemko grzywien brać, ani liczyć nie chciał, kazał je wprost do Łysego nieść i płacić.

Tu już Henryk Otyły, Dorenowa i kilku starszych urzędników czekali cheiwie na pieniądze.

Nie bardzo ochotnie Juda się poniosł z niemi.

Łysy byłby pewnie trudności robił o każdą sztukę i wagę, gdyby na gwałt nie potrzebował tego zasilku.

Widok pożądanego srebra rozbroił go. Nie dając tknąć ani synowi, ani temu, który się u niego Podskarbin nazywał, sam worki do łóżka pościagał i pochował je śmiejąc się, drżąc, żydła łając, Sonkę całując, dolewając do kubka, a grać rozkazując na schwał.

Razem z Przemkiem co było na zamku polskiego rycerstwa nwołnionem być miało — rałość więc i ruch w podwórku był wielki; gdy jeńcom o tem oznajmując, puszczoło ich na swobodę...

Nie świetny jednak weale orszak, miał towarzyszyć powracającemu do Poznania księciu. Ci co z tautąd wyjeżdżali we zbrojach kosztownych, z przyborem rycerskim, odarci ze wszystkiego, ledwie łachmanami okryci wyszli z rąk zwycięzcy. Nikt lepiej nad wojaków Łysego do gźła odzie-

rać nie umiał. Nie wyprosił się tam nikt, zięmianie zamożni szli teraz jak żebracy w opończach, które im z łaski rzucono. O konie też swe nie śmieli się upominać. Dla księcia najlepszego wierzchowca z pod czeladzi, która z Miną przy była, wybrano. Inni n mieszczan i żołnierzy marchy pokupowali na porękę, bo grosza nie mieli.

Choć późno już było, gdy wszyscy więźniowie stanęli do drogi gotowi, Przemko chciał zaraz jechać ztąd precz — Łysy dopominał się, aby z nim przepił na zgodę.

Trzeba było przystać na to.

Upokorzony, blady wszedł do izby Przemko. Łysy, jak zawsze leżał na swym barlogu, Sonkę mając po jednej stronie, gęślarza po drugiej, wesół aż do szaleństwa i na pół pijany.

Zobaczywszy księcia, pierwszy mn się pokłonił.

— Zgoda z wami! — krzyknął. — Zgoda! ale drugim się takimi blaszkami i łupinami ładajakiem wykupić nie dam. Szcęście masz, że Sonka i Henryk wstawili się za tobą.

Nie waż-że się drugi raz przeciw mnie, bo źle będzie.

Przemko mruknął coś niewyraźnego, a w tem mu kubek podano.

Łysy rękę wyciągnął aby potraćić z nim o swój z którego się wylewało, bo się trząsł cały.

— Dziewkę masz dobrą — odczywał się — he!

i niczego, a wszelako ona mojej nie równa. Patrzno, co to za kąsek!!

I pod brodę ją njąwszy, podniósł Dorenowej twarz, aby się jej lepiej mógł przypatrzeć. Niezawstydzila się bynajmniej pyszniąca się sobą niewiasta i śmiała zalotnie... Gęślarz począł śpiewać pieśń, złożoną na pochwałę księżęcej kochanki.

Wesołość ta bezwstydną męczyła Przemka, który radby się był co najprędzej ztąd uwolnić. Odezwiał się więc do Łysego.

— Pozwólcie mi was pożegnać, boć mi do domu, spocząć pilno. Dosyćem się poniewoli u was w Lignicy wysiedział.

— To jedź! jedź! z Bogiem! — odparł Rogatka — pamiętaj tylko drugi raz mi w ręce nie wpadnij.. bo skórę zedrę!

Zaczął się śmiać. Przemka groźba oburzyła.

— Wyście bezpieczniejsi od nas — mruknął — bo z pod Skorulca zawczasuście zemknęli!

Łysemu dziko zaświeciły oczy.

— Ej! ty! — wrzasnął — jeszcze ci ja buty nie przytarł?

Sonka głaszcząc go ulagodziła, głową tylko wahał.

— Zmykajże i ty lepiej drugim razem — zawołał. — Mnie tam staremu nie było co robić, kiedym syna pewny był!

Książe się sklonił, szeroką dłoń tłustą i na-

brzmiałą wyciągał doń Łysy, ścisnęli ręce i tak się rozstali.

W podworecu ludzie i konie już stały. Przemkowi, gdy swoich zobaczył tak nędznych, poranionych, odartych, łza się zakręciła w oku.

Skinął na nich, nie przemówili nawet do siebie. bo dokoła ćma ciurów obległa ich, przedrzwiewając z tego orszaku tak nędznego.

Co konie starczyły, pospieszył Przemko z Lignickiego zamku, a gdy od wrót odjechali dalej w pole, dopiero swobodniej odetchnął, obejrzał się za siebie, a z oblicza mu znać było, że o zemście myślał.

Dniem i nocą przerzynając się przez kraj w większej części spustoszony, spieszył książę do Poznania, gdzie się go wcale nie spodziewano jeszcze.

Wojewoda i starszyzna więcej rachowali na kaliskiego księcia niż na inne środki oswobodzenia i zdumienie było wielkie, gdy się jednego ranka Przemko u wrót ukazał.

Po zamku rozległo się wołanie, wybiegli kto żył.

Mina, która wyzwoliła swego pana, jechała obok niego, kryć się nie myśląc. W jednej chwili podwórca się niewiastami, czeladzią, ludem napełniły.

Orcha dała znać Lnkierdzie, która pod wrażeniem jakimś jej samiej nie zrozumiałem, wybiegła też na męża spotkanie.

Zsiadając z konia. ujrzał ją stojącą, zarumienioną nieco z podniesionemi ku sobie rękami. Wzruszoną była, lzy jej ciekły.

Przemko postrzegł to, ale oznaka przywiązania nie dotknęła go. Niczyhło wszystkich obdziejwszy powitaniem, przystąpił do Lukierdy.

Wyrażnie okazana oziębłość, miała czas jej serce ostudzić, cofnęła się zawstydzona ku drzwiom, a gdy książę zbliżył się do niej, witała go już tak zmięszana i nieśmiała jak dawniej.

Tymczasem ci co z księciem wrócili, rozpowiadali ciekawym kto go i jak uwolnił, komu był winien, że go dłużej w gnilym lochu nie więziono.

Mina urosła w oczach wszystkich, i ci, co jej cierpieć nie mogli, wdzięczni byli, podziwiając jak śmiało i szczęśliwie sobie poczęła.

Przemko powróciwszy swobodny, już tylko gniewem wrzał i odgrażał się z zemstą na Lysego.

Wieczorem duchowni, panowie, ziemianie bliżsi, do których doszła wieść o powrocie, zbiegli się na powitanie pana, który hojnie i wesoło gości przyjmował.

Rozpowiadano sobie o tej bitwie, w której książę ze swemi siłami bił się najdzielniej i temu właśnie winien był, że w środek nieprzyjaciela zapędziwszy się, został przeczeń otoczony.

Świadczyli uwolnieni, że rycerstwo polskie walczyło dzielnie, a Niemcy mu nawet sprawiedliwość oddawali.

Przy tej wieczornej uczcie Lukierdy już nie było. Zamknięta z Orszą płakała nad sobą i nad tem przyjęciem pogardliwem jakiego od męża w obec dworu całego doznała.

Dla zwiększenia jeszcze jej smutku wpadła złośliwa Bertocha z opowiadaniem gadatliwem i pełnem pochwał dla Mny, która dla pana swego nie wahała się na koń wsiąść, i z Łysym zbójem ząb za ząb się ujadać.

Sławiła ją i przywiązanie jej do księcia, aby Lukierdzie gorzkie łzy wycisnąć.

Orsza w końcu oburzona, musiała napastliwą wypchnąć gwałtem za drzwi.

Zostawszy same, na nowo płakać zaczęły.

— Mnie tu już nie żyć, mnie tu nie wyżyć! —
Ikała Lukierda — jam tu i sługi nie warta.

Urąga mi się czeladź, wyśmiewają się dziewczki, mąż gardzi... Gdybym skrzydła miała, poleciałabym ztąd precz, a! precz!.. poszłabym gdybym mogła, pieszo do dziada, na świata koniec, do ubogiej jakiej chaty, byle spokój znaleźć i sromu nie znosić...

Orsza tuliła ją, ale słów na pociechę brakło. Lata nie przynosiły nic, oprócz nowych boleści.

Małeńka tylko gaistka ludzi litościwszych szanowała i bolała nad biedną. Do tych należał Zaręba z nieodstępny'm druhem Nałęczem. Oba oni, choć chciełoby byli zbliżyć się do księżnej, aby

jej w czem posłużyć i przynieść pociechę jaką, lękali się na siebie i na nią ściągając oczów.

Bertosze tylko tego było potrzeba, aby Lukierdę o co obwinić mogła.

Gotową była drzwi im otworzyć, wprowadzić, pośredniczyć, aby zaskarżyć i zgubić.

Zaręba, który od pierwszej chwili gdy ją ujrzał, gorąco był w księżnie rozmiłowany, choć się z tego nie zwierzał nikomu, oprócz Nałęczu, nie śmiał się zbliżyć do niej, Orchy nawet unikając, i śledząc tylko zdaleka lub przez drugich podszeptując przestrogi.

Zręczny dosyć, niedając znać po sobie, iż księżnę miał na myśli ciągle, posługiwał się tak innemi, aby jej dopomódz, sam zawsze kryjąc się za nich.

Orcha jedna domyślała się w nim tej życzliwości i rada była, że się choć jedna dusza przyjazna znalazła na dworze, ale i ona z obawy posądzeń, unikała od Zaręby. Prawie cały dwór zresztą trzymał z Bertochą i Miną, które go sobie różnie ujmować uniały.

Spisek na pozbycie się zawadzającej wszystkim piastunki dojrzewał.

Mina zapowiadała od dawna, że ona się na służbę do księżnej dostać musi... Mówiąc to mrugała oczyma i dawała poznać jak służyć jej będzie!

Kilka razy już o to księcia zagadywała.

— Co ja mam siedzieć w dziurze jakiejś, kryjąc się na zamku? Czemubym nie mogła przy księżnie być i z nią razem...? Nie potrzebowalbyś do mnie się wykraść pokryjomu?

Książę nie odpowiadał na to. — Lękał się stryja Bolesława i bystrego oka jego i ludzi, co mu o wszystkim donosili.

Stryj sam i przez duchownych napominał go razy kilka o Lukierdę. Dopóki on żyw był, musiano ją szanować i oszczędzać, bo stary stawiał w jej obronie.

Z jego porady i ramienia dostał się na dwór Przemysława Lektor (*Pater spiritualis*) ks. Teodoryk, człowiek uczony, gładki, przypodobać się umiejący. Ten miał, zyskawszy serce księcia prowadzić go na lepsze drogi.

Wybór człowieka zdawał się bardzo szczęśliwy.

Mistrz Teodoryk z Włoch powracał, umiał wiele, nadewszystko przypodobać się komu tylko chciał. Uczonością zyskiwał sobie duchownych, uprzejmością ziemian, łatwością w obejściu się z nim samego Przemka, któremu czytywał niekiedy dobierając rzeczy takich, aby go one rozrywały... W sprawach sumienia nie był też surowym do zbytku, wiele rzeczy nie widział, gdy nie było potrzeba.

Ambitny i wysoko patrzący, choć Niemcem był, a naówczas już cudzoziemcy się rzadziej na wyższe dostojenstwa kościelne dostawali, i języka

krajowego się nauczył i umiał niemal za polaka uchodzić.

Choć kraju nie lubił. choć do Niemiec wzdychał, nie wyrwało mu się nigdy co by go zdradzić mogło.

Obluda w pozorniejsze szaty nie mogła się przybrać. Kochali go wszyscy, winszując panu, że takiego ojca duchownego pozyskał.

W obcowaniu też najmiłszym był człowiekiem; zawsze wesół gniewać się nie umiał, nikomu nie okazywał niechęci, żadnego uczynku ostro nie zganil, każdy wytłumaczyć umiał. — Zdawał się samą miłością ewangeliczną.

Pięknej postawy, twarzy urodziwej, małych ustek ledwie widocznych, najczęściej uśmiechniętych, odziany starannie, do wszelkich usług gotowy, nie wzdragał się za kapelanów mszy czytać, za ks. Tylona pisarza kaligrafować, dla gości zabawienia do stołu usiąść, i w poselstwie pójść, choćby najprzykrzejszem było.

Księżciu Bolesławowi zdalo się, że człowiek tak łagodny na Przemka wpłynie, z którym siłą nie się uczynić nie dawało.

Ks. Teodoryk posłannictwa swego podjął się ochotnie, na dworze się rozgościł i wszystkich rychło jednał sobie. Potrafił Miny nawet nie narażać, udając jakoby nie wiedział kim była, Ber-tochę sobie pozyskać, Orchę przekonać, że księżnie życzył dobrze i bolał nad jej losem, spodzie-

wając się polepszenia jego. Po cichu tłumaczył jej to, że dla dobra Lukierdy, nie godziło mu się zbyt jawnie brać jej stronę... Pokryjomu i cicho przestrzegał gdy co groziło.

W ciągu kilku miesięcy zdawał się być jednym z największych mocarzy na dworze. Nikt się bez niego obejść nie mógł, chwalili go wszyscy, on też każdego.

Po powrocie księcia on pierwszy przyszedł Bogu dzięki składając iż dobrego pana wyzwolił.

Opowiadał potem jak wszyscy tu lży leli po nim, modląc się za jego oswobodzenie, ile mszy na tę intencję odprawiało się w zamkowym kościele, jak lud pospolity jęczał i t. p.

O Minie, która tego wyzwolenia narzędziem była, nie wspominał wcale ks. Teodoryk, bo nigdy o niej nie mówił z księciem...

Przemko w zapale pierwszej chwili, napomknął otwarcie iż jej był winien uwolnienie, czego Teodoryk zdawał się nie rozumieć. Wyrwało mu się też jakieś wyrażenie o Lukierdzie niepoehlebne, ale i to przeszło niepostrzeżone przez ojca duchownego.

Teraz położenie Lektora coraz się trudniejszym stawało, Bolesław kaliski nalegał nań, aby powagą swą przejednał i zbliżył małżonków. Ks. Teodoryk szeptał, że to wymagało czasu.

Nie czynił nic.

W kilka dni na rozmowie z nim, Przemko znowu na Lukierdę rzucił słowo niechętnie.

Lektor westchnął.

— Miłościwy panie, księżnej o nie obwinić nie można — rzekł. — W otoczeniu jej, bliżej stojące osoby, wpływ może na nią mają nie dobry...

Możnaby spróbować sługi jej odmienić?

— Jedną starą piastunkę chciałbym oddalić — odezwał się książę. Ta ją od wszystkich odstręcza, o Szczecinie prawiąc i karmiąc w niej tęsknotę.

Ale tak czy inaczej otoczona, nigdy mi ona przychylną nie będzie — dodał Przemko.

Ks. Teodoryk ośmielił się temu zaprzeczyć.

— Serca ja od niej nie potrzebuję — rzekł książę — lecz nie chcę by ludzie rozpowiali żem jej niemiły...

Piastunka stara, nad jej losem boleje, drudzy ją też mają za nieszczęśliwą — wygnać babę potrzeba.

— Miłościwy panie — szepnął ks. Teodoryk — wypędzić ją, aby po świecie nosiła, co w domu zostać powinno — zły sposób. Chyba sownie obdarzoną oddalić, aby wdzięczną być musiała.

Książę przerwał nie miłą rozmowę.

Wieczorem u Bertochy głośno już mówiono i cieszą się z tego, że Orcha precz pójść musi. Zaniósł wiadomość tę do Miny przyjaciółka.

— Na miejsce piastunki ja tam pójde, — za-

wołała Mina żywo. — Struję jej tak życie, że się łzami udusi... Ona tu niepotrzebna!...

Dwie kobiety naradzać się poczęły nad przyszłością. — Przemka potrzeba było do reszty od niej odstręczyć — a potem...

— Może Mszczuj pomorski żyć z mniszką Fulką, — wołała Mina, — Łysy trzyma Dorenowę, nie im nikt nie śmie rzec, czemu by Przemko nie miał żyć ze mną?

VIII.

Z niewoli u Rogatki wróciwszy Przemko, lat kilka spoczywał, zemstę w sobie karmiąc i starając wzmódz w siły.

Gdy w niewieścich komnatach baby przeciw nieszczęśliwej Lukierdzie spiski knowały, książę zupelnic dla niej zobojetniały, myślał o czem innem. Żony nie widywał prawie.

Chociaż wygnanie Orchy postanowione się zdawało i Bertocha o nie nalegała, książę nie wydał rozkazu i wszystko po staremu zostało.

Obawiał się może skarg żony i poróżnienia z jej rodziną, zwłaszcza z Mszczujem, który mu się już wówczas obiecywał, odkazać Pomorze, a nawet ze stryjem ujmującym się za Lukierdę.

Lata upływały na tem męczeństwie powolnem

biednej ofiary, a Przemysław nie zdawał się ani go widzieć, ani dbać o nie.

On i Bolesław marzyli o jednym, o wielkiem państwie, które dla Przemka się przepowiadało.

Obok tej myśli zaprzatającej ich, czemuż były domowe niesnaski i swary niewieście?

W następnych latach Bolesław pobożny zlecił synowcowi strzedz swoją dzielnicę, wychodząc przeciw nienawistnym brandeburezykom, Ottomowi Długiemu, który mu ziemię wydzierał, a sam do Czech i do Cesarstwa ciągnął.

Wprędce potem zmarł w Kaliszu ów Bolesław, co mu był opiekunem i drugim ojcem, a dzielnicę swą umierając przekazał.

Było to pierwsze wzmożenie się, wzrost potęgi Przemysława.

Jolanta, wdowa po księciu starym, pospieszyła do siostry Kingi, aby z nią razem resztę życia spędzić w spokojnym klasztorze.

Po śmierci stryja, Przemko się uczuł swobodniejszym. Dojrzywał też i duma a chęć wielkiego panowania w nim rosła.

Przewidywał już chwilę, gdy będzie najsilniejszym z polskich książąt; inni się coraz rozdrabiali, jemu przypadaly osierococone dzielnice.

Nim się jednak ziściły te nadzieje, Przemko raz jeszcze miał być wystawionym na ciężką próbę, padłszy ofiarą tych rozbojów książęcych i zrad, które naówczas były chlebem powszednim.

Cioteczny brat jego, z siostry ojca urodzony Henryk, którego jakby na szyderstwo Prawym i pocziwym zwano (Probus), poszedł w ślady Rogatki i innych swych powinowatych. — Pod pozorem wspólnej narady, dla oparcia się nieprzyjacielowi, zaprosił wszystkich książąt do Baryczy.

Gdy wezwanie to przyszło do Poznania, Przemko bez namysłu do drogi się kazał sposobić.

Świetnie i pańsko, jak zawsze chciał wystąpić. Benjamin, ówczesny Wojewoda Poznański, Tomisław kasztelan, pamiętni nieczym wyprobowanej złej wiary książąt Śląskich, podróż tę odradzali.

Nadjechał za nimi i Teodoryk i Wincenty kanclerz Poznański, prosząc pana aby się wy mówił od zjazdu w Baryczy.

Naleganie to właśnie Przemkowi, który wolę swą chciał utrzymać, a nienstraszonym się okazać, nie było do smaku.

— Zaprawdę — rzekł — są to babskie strachy! Jesteśmy z Henrykiem w powinowactwie i przyjaźni, nicem mu nie winien.. Dla czego bym ja nie miał jechać, gdy inni jadą?

— Wątpliwa to, czy się tam inni udadzą — odparł Wojewoda — Ślązakom nikt nie wierzy.. Nie przebiecrają oni w środkach, dali dowody tego, iż zdradzić dla nich niczem, byle coś zyskać na zdradzie.

Książę się śmiał z przestrogi. Obawy zdawały

mu się płonne. Postanowił jechać do Baryczy i odwieść się nie dał od tego. Co najdzielniejsze rycerstwo i najświetniejszy dwór wyznaczył do swego boku. Zaręba i Nałęcz jechali z drugimi, choć pierwszemu w podróż się wybierać nie bardzo chciało.

Od owego turnieju, a potem zniechęcony do księcia tem, że się źle z żoną obchodził, Zaręba coraz się na niego dąsał więcej.

Bertocha i Mina dowiedziawszy się o podróży księcia, zmawiały się już, aby z niej korzystając, nienawistnej pozbyć Orchy. Zaręba pilno przez dziewczęta wywiadujący się o tem co się na dworze Lukierdy działo, miał już przeczucie, iż się tam zamach jakiś przeciw niej gotował... Pragnął zostać na straży, aby zapobiedz temu.

Gdy mu zapowiedziano, by się do drogi gotował, przyjął to niechętnie i szedł sam do księcia wymawiać się od podróży.

Przemko czuł dawno niechęć jego ku sobie, choć jej niezemu innemu nie przypisywał, tylko turniejowi. Dumnym był nadto, aby się go starał przejednać.

Gdy dosyć niezręcznie Zaręba się poczał nie dobrem zdrowiem i niepokażnym koniem wymawiać, książę spojrzał nań ostro i rzekł:

— Rozkaz dany nie może być zmieniony... Służba u mnie posłuszną być musi.

Nie rzekłszy słowa oddalił się Zaręba, bo wy-

born nie było, lub dwór porzucić, czego nie chciał, albo wolę pana spełnić.

Rozpaczając prawie, stanął przed druhem Nałęczem, czekającym co przyniesie z posłuchania.

— Na złość mi jechać z sobą każe — odezwał się. — Rady niema na to.. A że baby coś knują i mojej pani krzywdę jakąś wyrządzą, tegom pewny. Gdybym tu był.. Kto wie? nie-dopniścilibym może. Dalbym życia kawał, aby tu pozostać...

Nałęcz niebardzo wierząc w przeczucia, uśmiechał się.

— Tobie bo się roi zawsze coś z tej głupiej miłości, która ci się na nic nie zdała — rzekl. — Ileż to lat te baby coś knują, a ty podglądasz, przecież nie nie zrobiły.. Pana się boją, bo choć jej nie kocha, a krzywdy wyrządzić nie da... Bodaj i Minie...

— On! on! — przerwał Zaręba. — Ja go łpiciej znam niż ty. Gdy się co stanie, słowa nie powie. A co ona go obchodzi! Dawniej się na stryja oglądał, dziś radby może pozbyć się tej, aby sobie szukać królownej? Pochlebey mu w to dmy, że mógłby i Cesarską dziewczkę zaślubić...

Posprzeczali się z Nałęczem, który nie wierzył niczemu, a Zaręba przy swoim stał, iż coś złego się gotuje.

Wybrali się nazajutrz radzi czy nie z księciem do Baryczy, poczem wielkim i wspaniałym.

Tegoż wieczora, ledwie księcia nie stało, między babami w istocie żywa się krzątania jakaś tajemnicza poczęła.

Bertocha latała do Miny, ludzi jakichś kryjomo na zamek sprowadzono, przygotowania jakieś czyniono nie zwykle.

Nad wieczór siedziała w izbach swych księżna Lukierda zaniepokojona nieco wyjazdem małżonka. Chociaż rzadko go u siebie widywała, bytność jego na zamku była dla niej rękojmią bezpieczeństwa, czuła, że w jego obecności żaden gwałt popełnionym być nie może, a do tego już przyszło, że się i przemocy obawiała.

Bertocha coraz zuchwalszą się stawiała, od grażała się i szydziła jawnie. Ze starą Orcha gryzły się i lajały w obec księżnej.

Wśród tej pustki i ciszy, na zamku pod wieczór trwoga jakaś ogarnęła ją, starej Orsze na chwilę oddalać się od siebie nie pozwoliła. Pia-stunka napróżno uspokoić się ją i rozerwać piosenkami ulubionemi starała.

Po wieczery księżna rozpoczęła w swojej izbie modlitwy, Orcha wysunęła się na chwilę, jak mówiła.

Łzawe to było nabożeństwo nieszczęśliwej sieroty, skazanej na samotność wśród wrogów. Trwało ono zwykle długo, a po nim księżna, doczekawszy piastunki, szła do łóża. Orcha u nóg jej miała posłanie i nie opuszczała nigdy.

Dnia tego modlitwa trwała może dłużej niż innych, noc już była, gdy Lukierda wstała i zdziwiona postrzegła, że piastunki jeszcze nie było. Godzina, o której wracała przeszła dawno, księżna niespokojna wychyliła się na podsienia.

Tu gromadka niewiast stała około Bertochy, jakby na coś oczekiwała. Lukierda nie rada odzywać się do nich, nie zapytawszy o nie, drzwi zamknęła, czekała.

Orchy nie było. Noc już była późna. Weszła nareście Bertocha z miną zuchwałą, nadętą.

— Cóż to pani do snu nie idzie? — zapytała.

— Orchy nie ma — drżącym głosem odpowiedziała Lukierda.

— Albo to bez niej posługi brak! Ona przecież nie jedna! — burknęła niemka.

— A gdzież ona jest?

— Albo ja za nią chodzę? czy ja wiem? Ona mnie ja się jej nie pytam...

Obawa coraz rosła większa. Zapłakana, łamiąc ręce, zbliżyła się księżna do swej nieprzyjaciółki.

— Na miłość Chrystusa Pana! Każcie jej poszukać! Co się z biedną moją stało? — rzekła płacząc.

— Gdzie się ludzie mają za nią po nocy rozbijać — zawołała Bertocha.. Cóż to? na zamku ją przecież nie zabito, a starej nikt nie porwał.. Legła gdzie pijana i śpi...

W rozpaczę Lukierda rzuciła się na siedzenie zachodząc od lez, a Bertocha krzycząc i szydząc, wyszła drzwiami trzasnąwszy.

Biedna stara piastunka więcej już wrócić nie miała.

O mroku wychodzącą od księżnej w ciemnym zakacie podwórza porwali nasadzeni ludzie, usta jej zawiązali i wyciągnęli precz z zamku. Co się z nią później stało? wywieziono ją czy zabito, nie wiedział nikt oprócz tych, którzy milczeli, nie przyznając się do niczego.

Lukierda całą noc spędziła siedząc na ławie, oczekując piastunki.

Błagania, aby jej szukano były próżne. Bertocha gwałtem się do sypialni wdarłszy, na jej miejscu spać się układała. Dwom służebnym każała zostać przy drzwiach, — obejmowała panowanie...

Na księżnę zważała tak mało, jakby nie ona nad nią, ale Bertocha panowała tu samowładnie. Lukierda mogła tylko skarżyć się przed kimś, lecz starszyzna, która pozostała na straży zamku, cała była po niemiek stronie.

Gdy na pierwszą mszę ranną zadzwoniono, splakana pani zerwała się co prędzej narzucając na siebie płaszcz. Chciała iść do kościoła, spodziewając się tam zastać ks. Teodoryka, który z księciem nie jechał. Przed nim lub jednym

z duchownych żalić się chciała nieszczęśliwa. Nie wątpiła już, że starej piastunce coś się stać musiało.

Ks. Teodoryk w istocie znajdował się w kościele, ale w ślad za księżną pobiegła Bertocha wprost do zakrystyi. Zaraz po mszy zaprosiła do siebie Lukierda Lektora. Ten przyszedłszy znalazł tu już stojącą w progu i narzucającą się ciągle niemkę.

Księżna ze łzami w oczach zaczęła przed Teodorykiem żale rozwodzić. — Ten słuchał z politowaniem dwuznacznem, zakłopotany, starając się ją uspokoić.

Wtem Bertocha, wtrąciła się do rozmowy, głosem krzykliwym, nie zważając na panią.

— Niewie!ka szkoda, żeśmy się pozbyli baby pijaczki i czarownicy — Niema co za nią przepadać. — Co za dziw, że zginęła gdzieś? Polazła po nocy, zatoczyła się gdzieś w rów i utopiła pewnie...

— Orcha nigdy pijaną nie była! — zawołała księżna.

Zamiast odpowiedzi niemka się urągliwie śmiać poczęła.

Ks. Teodoryk słuchał milcząc ze spuszczone-mi oczyma, pół gębkiem potem przyrzekając, że się postara aby Orchy szukano... Ale z mowy jego poznać było łatwo, że sprawy zbyt do serca nie weźmie, a z nikim się o nią zadzierać nie zechce.

Służba żeńska głośno tym czasem objawiała, że się czuje obrażoną, jakby tu jedna stara piastunka godna była zanfania. —

Lukierda spokojn nie miała od swych kobiet. Wchodziły, wychodziły, narzekały, Bertocha śmiała się dodając, że choćby na nie skargi poszły do pana, wszystko to na nic się nie zda.

Męczeństwo biednej pani od dnia tego straszniejszym się jeszcze stało. Rządziły tu sługi nie ona. Bertocha wszystkiem rozporządzała, objęła panowanie, starając się jak najboleśniej dokuczyć swej ofercie...

Lukierda jednym milczeniem pogardliwem mogła odpowiadać na to.

W ciągu dnia ks. Teodoryk, starając się okazać czynnym, kilka kroć z duchowną pociechą przybywał. Zaręczał, że czynił co tylko było można dla wyszukania piastunki, że zamkowy dozorca wysyłał ludzi, trzęsiono po okolicach i w mieście, ale śladu żadnego nie znaleziono.

Byli tacy, co ntrzymywali, iż późnym wieczorem widziano kobietę jakąś przez most idącą, która słańiała się, zataczała i do wody wpaść miała.

Było to kłamstwem wierutnem, gdyż Orcha z obawy gwałtu jakiego, nigdy za wrota nie wychodziła.

Bertocha szydząc powtarzała, że ją szatan

porwał pewnie, gdy przyszła na nią godzina, bo taki zwykle czarownicom koniec bywa.

Wkrótce zaszła w услużę około księżnej zmiana większa jeszcze.. a najboleśniejsza dla niej

Razem z Bertochą weszła niby dla posługi Mina, od proga mierząc Lukierdę mściwemi oczyma złości pełnemi.

Księżna widywaną przez okna ulubienicę męża łatwo poznała.

Niemka korzystała ze zrzeczności od dawna wyczekiwanej, aby tu zająć miejsce przy pani i napaść oczy widokiem swej ofiary.

Nie śmiała jednak zbliżyć się do Lukierdy, której wzrok ją odepchnął. Przeszła się po korytarzu nuciąc sobie półgłosem i rozmawiając głośno z Bertochą, jak gdyby sama tu była.

Działo się teraz co one chciały.

Przynoszono jedzenie takie nmyślnie, aby go księżna w usta wziąć nie mogła, znęcały się nad nią śmieszkami, nadszkakiwały pozornie, aby jej usłużnością dokuczyć.

W nocy Lukierda nie śmiała się do snu położyć — siedziała na ławie drżąc i nie mogąc zmrużyć oka.

Skargi przed ks. Teodorykiem nie miały żadnego skutku. Lektor starał się przed księżną sługi obwinione tłumaczyć i umniejszać ich winę.

Ratunku nie było nigdzie!

Tych, coby się może ujęli, trzymano umyślnie zdala.

Postawiona na straży przez Bertochę dziewczyna i Komornik przychodzących odprawiali odedrzwi tem, że księżna nikogo widzieć nie chciała i puszcząć nie dozwoliła.

Oprócz tych stróżów bezlitośnych więcej nikogo nie widziała Lukierda.

Dni kilka się tak przewlekło, gdy ranka jednego powracając z kościoła księżna usłyszała na zamku wrzawę połączoną z lamentami i płaczem. Nie wiedząc co się jeszcze straszniejszego stać mogło nad to co było — przerażona postradała prawie przytomność.

Zamek rozlegał się wołaniem i wyrzekaniem.

Wszystkie sługi odbiegły księżnę.

W dziedzińcu widać było ludzi łamiących ręce i rzucających się na wszystkie strony, zbrojącą się załogę, wydających rozkazy dowódców... Zamykano wrota...

Starszyzna otaczała dworzec biskupi. Widocznem było, że wypadek jakiś groźny trwożył wszystkich...

Lukierda mimowolnie pomyślała, iż mężowi jej coś stać się mogło.. O niej zapomnieli tak ludzie, jakby jej na świecie nie było. Prześladowające ją nawet niemki zbiegły, widziała je zawożdżące i rozplakane w podwórzcu.

Wynijść nie śmiała, aby pytać, drżące usta

powtarzały jakąś modlitwę, a splakane oczy nie widząc nic po izbie smutnej błdziły. Wrzawa i bieganie nie ustawało, do niej nie przychodził nikt.

Przeszła tak godzina objadu, a o niej zapomniano. Gdy już osłabła dyszała ledwie, nie rychło zjawił się ks. Teodoryk z twarzą pochmurną i czołem zasępiionem.

Zaledwie mogła słabym głosem zapytać go — jakie nowe nieszczęście ich spotkało.

— A! nieszczęście wielkie! — zawołał Lektor. — Przewidywaliśmy je wszyscy, pragnąc pana naszego odwieść od tej podróży. Niegodziwy Henryk pochwycił w Baryczy Lignickiego, Głogowskiego i naszego księcia, bo więcej żaden nie przybył. Odesłano ich na zamek do Wrocławia więźniami.

Grozi zbój, że żadnego z nich nie wypuści, dopóki mu się nie wykupią ziemią.

Lukierda nie rozumiała może całej grozy tego wypadku, wiadomość prawie ją uspokoiła. Przemko żył i życie jego nie było w niebezpieczeństwie.

— Więc niech da tę ziemię! — zawołała...

Ks. Teodoryk głową potrząsł.

— Znam dobrze księcia, — ozwał się — ziemi on nie ustąpi. Woli być więzionym, niż dobrowolnie uszczuplić dzielnicę.. O zdradzie tej dano już znać Leszkowi i Mszczujowi, nieochybnie

przyjdą mścić się za nią na ziemi Henryka, na Wrocławiu.

Księżna zamilkła — Lektor obiecywał, iż wszystko rychło i dobrze skończyć się musi, bo Bóg zdradę ukarze.

Nie wiele to nieszczęśliwą mogło obchodzić, widziała tylko pogorszone położenie swe, przedłużone osamotnienie bezbronue...

Mogła trwać niewola aż do wyczerpania sił i życia. —

Nikt zresztą teraz nią się nie zajmował, myślano o księciu i o niebezpieczeństwie na jakie pod nieobecność jego Poznań był wystawiony.

Wojewoda Benjamin, Tomisław kasztelan, urzęduicy i panowie zbierali się myśląc tylko o obronie ziemi.

Ochłonęli jednak wprędce dowiadując się na pewno, że Mszczuj, który Przemysława sobie za następcę przybrał, ruszył się przeciwko Henrykowi a i Leszka się spodziewano. Niepoczciwa zdrada oburzała wszystkich, nie było już wiary, bezpieczeństwa, ni prawa, ni pewności pokoju.

Na wiadomość o powtórnem uwięzieniu księcia, Mina porwała się chcąc biec do Wrocławia...

Zdało się jej, że jak z Rogatką da sobie radę z drugim Henrykiem.

Trzeciego dnia pożyczwszy pieniędzy w kilka koni puściła się wprost na Wrocław, ale powró-

cila niebawem z niczem. Odpędzono ją precz od miasta i z tego co miała odarto.

Dowiedziała się tylko, że książę siedział na zamku osobno, bo Probus uwieczonych porozdziłał i zamknął tak, że do nich nawet księdzka nie puszczano. Mina z gniewem w sercu bezsilnym wróciła.

Los księżnej nie zmieniał się. Wystawiona na znęcanie się niepocziwych sług, które tem więcej dokuczały jej im cierpliwiej to znosiła, zeszła do tego stopnia odrętwienia, co z obłąkaniem graniczy.

Gdy została sama, co się często zdarzało, gdyż sługi zamknawszy ją szły gdzie chciały, wśród łez nucila czasem pieśni, które jej młodość i piastunkę przypominały. Od łez wzrok prawie straciła, a do krosien siadłszy, widziała je jak mgłą okryte. Modlitwa nawet stała się oziębłą, bo się jej zdało, że Bóg już słuchać nie chce.

Mina, która kręcąc się wypatrywała co się z nią dzieje, cieszyła się widząc obumierającą.

— Schnie! schnie! — mówiła — duszę w końcu wypłacze i zemrze... Już w niej życia nie wiele.

Cień to był tylko młodej niedawno niewiasty, na którą bez bólu nikt spojrzeć nie mógł, oprócz tych, co ją męczyły.

Gdy szła do kościoła, ludzie przypatrujący się jej, rychły zgon wróżyli, tak żółkłą miała pleć, wpadłe oczy i policzki, zbladłe usta, ręce wychudzone, krok chwiejny, oddech ciężki.

Sama ona życzyła już sobie tylko rychłego końca. W katach nie obudzała litości. Patrzały na nią, cieszyły się, Mina się uśmiechała zwycięzko.

Nieraz nad usypiającą, gdy po długiej bezsenności twardy sen ją ogarnął, stawały przyglądając się, upatrując rychło-li oddychać przestać.

Ale młodość ma sily olbrzymie. Z największą boleścią, gdy ta się przedłuża, człowiek obyć się musi i zahartować cierpieniem samem, jeśli go ono w pierwszej nie dobilo chwili.

Stało się to, czego nie rozumiały na śmierć jej czyhające niemki.

Lukierda przeżywszy pierwsze chwili męczarni — stała się na nią obojętną prawie. Żyła już cała w sobie zamknięta, nie dopuszczając do duszy, coby ją na nowo zranić mogło.

Śmiech niegodziwych służebnic, ich urąganie, już ją nie raziło, obchodzenie się zuchwałe przechodziło niepostrzeżone.

Przesuwała się wpośród nich jak skamieniała, nieprzytomna. Niekiedy na widok tego odrętwienia, Bertochę zabobonny strach ogarniał. Myślała, że miała jakąś siłę w sobie niezmoloną, którą nietylko obronić się, ale pomścić mogła.

Mina szalała niemal, gdyż na śmierć jej pewną rachowała i spodziewała się sama być tu panią.

Wszystkie możliwe środki udęczenia wyczerpane zostały — nie wiedziały co poczynać, na co się już uzuchwalić.

Miesiącami przeciągało się więzienie Przemyśława.

Dowiedziano się w Poznaniu, że Leszek i Mszczuj, mszcząc się za niego ogniem i mieczem zniszczyli Wrocławia okolice, ale zamku obronnego wziąć nie mogli. Spustoszenie było wielkie, straty ogromne, a Henryk tem uparciej dopominał się ustępstwa ziemi jako wynagrodzenia.

Przemysław nic dać nie chciał. Wojewoda i Kasztelan niepokojąc się przedłużonem bezpaństwem, ziemian zwolali na radę.

Znaczniejsza część domagała się, aby książę kawal ziemi dał, zaklinając się, że ją odbiorą rychło.

— Nie zechce on — wolali -- my pójdziemy sami i odzysczemy co nasze.

Tomisław Kasztelan w poselstwie wyruszył do Wrocławia. Mąż był poważny, który w dworskie sprawy pomniejszych się nie miewał. Dowiedziawszy się iż jedzie, Mina pobiegła doń, aby jej pozwolił do orszaku się przyłączyć, polegając na tem, że raz już wywiodła Przemka z niewoli.

Tomisław przyjął ją pogardliwym uśmiechem.

— Nie wasza to rzecz — odezwał się — pilnujcie krosien i kądzieli.

— Jam kądzieli nigdy w ręku nie miała! — hardo odparła Mina.

— Tem ci gorzej — rzekł Tomisław. — Nie wiastą być nie umiałaś, a mężczyzną nie możesz. Ani mnie przystało panu miłośnicy wodzić.

Mina zawstydzona i oburzona, płakać i grozić poczęła, ale Tomisław pozostał niewzruszony.

Odprawił ją tem, żeby czyniła co chce, oskarżyła go — ale on jej znać nie myśli.

Wyruszył Tomisław sam, choć Mina nasłala i innych, aby za nią prosili — Kasztelan słuchać nie chciał.

Do Wrocławia przybywszy, trzeba było u wrót stać długo, nim pod strażą, jakby w niewolę ich wzięwszy na zamek wpuszczono. Nierychło potem książę Henryk dał się nakłonić, aby posła do więzienia wprowadzono.

Spustoszenie okrutne wrocławskich włości, mściwym go i zjadłym czyniło. Dopiero gdy mu Tomisław zaręczył, że on sam do ustąpienia kawałka ziemi nakłaniać będzie, zaprowadzono kasztelana do izby, w której wynędzniałego Przemysława trzymano.

Spodziewał się księcia znaleźć na duchu upadłym, zdumiał widząc zmienionym, lecz nie tak jak sądził.

Gdy Tomisław w progu stojąc żale rozwodzić zaczął, Przemysław wstał i z dumnem obliczem przerwał mu.

— Nie nademną żale rozwódzicie, ale nad tą ziemią naszą, którą niedość że nekają Tatarowie, Litwa, Prusacy — jeszcze jej od własnych dzieci zguba przychodzi! Nasza wina, wielka wina na-

sza, żeśmy jedności pozbyli i siły z nią — do niej powrócić trzeba, lub zginąć nam.

— Nie dziś o tem mówić — odparł Tomisław.

— Dziś i zawsze na pamięci to mieć potrzeba — rzekł z goryczą książe.

A po chwili spytał:

— Co mi przynosicie?

— Prosbę od ziemian naszych — odezwał się przybyły — abyście do nas wracali, choćby najcięższym okupem wyzwolić się trzeba... Drożsi wy nam, niż powiat jaki.

Tu głos zniżając szepnął:

— Daliśmy wszyscy rycerskie słowo iż powiat odbierzemy, was nie pytając, my sami..

Zadumał się Przemko.

— Serce mi pęknie, gdy taką umowę podpisywać przyjdzie — zamruczał — lecz muszę! Wolnym być potrzebuję, aby o przyszłości innej myśleć...

Stańło więc na tem, aby ziemię Rudzką z Wieluniem dać, na co się ziemianie godzili. Poszedł Tomisław do księcia Henryka, który więcej chciał, targował się, lecz umowa wreszcie spisana została.

Ślżak zażądał, aby mu wnet grody zdawano.

Gdy pakt przypieczętowano, a Przemko miał wolność odzyskać, Henryk zażądał jak Rogatka, aby się przejednani rozstali.

Wyprowadzonego z więzienia, niemal gwałtem

musiano wieźć do izby, w której nań czekał Probus.

Stał oparty o stół, nie jak zwycięzca, ale jak zasromany złoczyńca, spoglądając z ukosa i nieśmiało na ciotecznego, który wchodził dumny, z obliczem surowem.

Ślżak przed wzrokiem jego, oczy spuścić musiał. Nie przemówili do siebie rychło.

— Zmogliście mnie, — odezwał się w końcu Przemysław — zdradą i niewolą, bierzcież ziemię, która wam nie przyniesie szczęścia..

— Inaczej.. inaczej być.. nie mogło — odparł jakając się Probus. — Przebaczenie mi.

Widać było wstyd — nie umiał się tłumaczyć.

— Dajcie mi ztąd odejść — dodał polski książę — jednać się nie potrzebujemy. Nie po bratersku postąpiliście ze mną, serca też ku wam mieć nie mogę.

— Nie oszczędziłem was — przebaknął Henryk, ale i bliższych mnie tenże los spotkał.

Spojrzeli na się. Przemko zimno i pogardliwie, Henryk z pewną trwogą.

— Ziemi tej, której tak żądni jesteście — dodał książę — nie będziecie mieli nawet komu zostawić...

Zdała skłonili się sobie.

Przemko zaraz konie dosiadł, otoczyli go uwolnieni dworzanie, a Zareba pobiegł pytać znajomych, co się na zamku działo.

Od nich dowiedział się, że Orcha kędyś przepadła a Mina się do księżnej wcisnęła, która chorą była i nieszczęśliwą.

Zaciął usta usłyszawszy to Zaręba i nie otwartwszy już ich, jechał tak gniewny do Poznania, iż nikt się doń przybliżyć nie śmiał.

IX.

Gdy Lukierdzie dano znać, że książę pan powrócił, zdawała się nie rozumieć tego i niewyszła przeciw niemu. Słyszała czy nie, — trudno po niej poznać było.

Bertocha, która o tem z przekąsem przyszła oznajmić, nie mogła pojąć dla czego ani rumieniec, ni bladość na twarzy się nie ukazały.

Nie drgnęła, nie podniosła głowy, siedziała milcząca i skamieniała.

W podwórzu Mina witała hałaśliwie pana, który ją zbył obojętnym pół uśmiechem.

Po przywitaniu Wojewody i Biskupa, Przemko poszedł do żony.

Siedziała u kądzieli nie przedząc. Zobaczywszy go, powstała zwolna, stanęła przed nim nie jak żona, jak służebnica.

Książę spojrzawszy na nią — niemy, uląkł się tego widnia tak zmienionego, że w niej prawie Lnkierdy poznać było trudno.

Resztki młodości znikły, była to istota przeobrażona w posąg nieczny.

Gdy powoli zaczerwienione oczy podniosła nań, przeszły go do dna duszy, Nie było w nich wymówek, ani skargi, ale śmierć nieimi patrzała . .

Uląkł się tego żywego trupa.

Zdala czatowała ciekawa pierwszego spotkania Bertocha. Nie rozumiała co się działo. Widziała ją zastygłą, jego ze wstrętem jakimś prędko wychodząc go z izby...

Skinął na niemkę, która czekała.

— Coście z nią zrobiły? — zapytał.

— My! my! — żywo rękami poruszając krzyknęła Bertocha. — My? Ona sama nie my temu winna! Wyplakuje oczy za tą starą czarownicą, pijaczką która się nie wie gdzie podziała...

Przemko spojrzał surowo, Bertocha zarumieniła się i nie pytana przysięść się zaczęła.

— My! my nie wiemy nic! Stara poszła gdzieś — przepadła!!

Książę już nie słuchał...

Wieczorem poszedł do Miny; ale z drogi dwa razy się zawracał. Szedł, ciągnął go nałóg, a wstręt miał i obawę. Wreście nie oparł się pokusie, pospiesznym krokiem wpadł do niej, lecz

nie jak dawniej ją witając. — Chłodny był i obojętny.

Mina przystąpiła doń z zuchwałością, do której nawykła — ale odpychał ją jakąś dumą, której nabral w niewoli. Człowiek był inny — zestarzał.

Nie mogąc go poruszyć niemką, płakać zaczęła, lecz i łzy nie poskutkowały. Myślał o czem innem, na ostatek napastowany łzami, pogniewał się i precz iść chciał gdy go uciskiem strzymała.

Czułość ta nie uczyniła wrażenia, patrzył surowo i choć pozostał, nie rozmarszczył się

Nie był to już dawny Przemko namiętny, załotność, płacz, gniewy znosił z lekceważeniem.

Gdy po krótkim pobycie wyszedł, Mina rękami oczy sobie zasłoniła — była w rozpacz.

— Ona, księżna ta przekłeta winna wszystkiemu! — zawołała — ma litość nad nią! Póki ona żywa, nie będzie końca...

Padła z rękami pościskanemi na łóżko...

Przemysław jak krótko litość uczuł nad żoną, której widoczna choroba wstręt w nim budziła, tak mniej jeszcze dał się ująć napaściom dawnej kochanki...

Inne myśli napelniały mu głowę i burzyły się w piersiach. — Siegał niemi wyżej i dalej nad ten grodek na którym siedział, i w którym ciasno mu było.

Potrzebował ludzi do rady, co by go zrozumieć i poparli. Wojewoda Benjamin, Tomisław kasztelan mówili mu o tym małym kawałku Polski, którą on trzymał; — niewola u Henryka, może chciwość panowania na większym obszarze księcia Wrocławskiego, nauczyły go więcej pragnąć, patrzeć dalej. —

Nie miał się powierzyć komu...

Niepokój ten ducha, któremu ciasno było i duszno wszędzie, potrzebującego się wylać, znaleźć sprzymierzeńca, pomoc, radę — nazajutrz zaraz wygnały go z domu.

Jechał bez celu prawie, niewiedząc dokąd, z kilką ludźmi tylko, tym co go pytali o kierunek podróży, odpowiedzieć nieumiejąc. Łówów nie chciał, towarzystwo zwykle ciążyło mu — tęsknił za zmarłym stryjem, który byłby go jeden rozumiał i pocieszyć umiał.

Ks. Teodoryk jako ojciec duchowny, czuwając nad księciem, zaniepokojony był tym stanem jego, nie mogąc dobrać przyczyny. Lękał się i o siebie, aby nie popadł w niełaskę. Nieśmiało ofiarował się towarzyszyć.

Przemko odmówił pół słowem.

Za murami zamku spotkał kanclerza Wincetego proboszcza poznańskiego. Był to kapłan ciuchy, nie dworak natrętny jak Teodoryk, milezący, rozważny, więcej z księgami niż z ludźmi żyjący. Szedł pieszo na zamek z agendą w rękę.

Przemko, który tylko co Teodoryka odprawił, jego zatrzymał.

-- Księżę Wincenty — odezwał się — jesteście mężem dobrej rady. — Jeżeliście nie znużeni, siadźcie na spokojnego stępaka i jedźcie ze mną. W polu człowiek się swobodniej rozmówić może, a jam długo w murach siedział i te mi się sprzykrzyły. Ciężko mi na duszy. Mój ojciec duchowny zbyt powolny jest, nadto potakujący — wy mi prawdę rzeczcicie, ja jej potrzebuję...

Ks. Wincenty, który choć miał zaufanie pana swego, szczególnych łask jego nie posiadał nigdy, zdziwił się nie mało. Wracał do domu i w żadną podróż puszczać się nie myślał, lecz usłyszawszy rozkaz pana, ze skwapliwością wielką oświadczył się gotowym do podróży.

Na skinienie księcia, konia mu podano. Dwór pozostał opodal nieco. Przemko zbliżyć się kazał kanclerzowi. Twarz miał posępną i zmęczoną.

Wyjechali w pole na ów gościniec pamiętny, który niegdyś wytrzebiono za Chrobrego, gdy Cesarz Otto pielgrzymował do Gniezna.

Księżę zwrócił się do towarzyszącego mu w milczeniu kapłana.

— Ojciec mój, — rzekł — słuchajcie, bo się wam wynurzę jak na spowiedzi. Dusza moja potrzebuje tego. Więzienie, największa męczarnia dla człowieka ma też swe błogosławieństwa, zasiewa ono w nas myśli, któreby wśród burzliwe-

go życia nie przyszły. Doświadczyłem ja tego. Z niewoli wróciłem innym.

Westchnął ciężko.

— Dopóki żył stryj mój Pobożny, jemu zwierzać się mogłem — teraz nie mam nikogo, a potrzebuję rady i pociechy.

Tak jak u nas dziś jest, nie może być dłużej. Spójrzycie co się to stało od podziału Krzywosta, od czasu jakieśmy koronę Ottonowską stracili. Na szczęty rozpada się ta ziemia, a Brandeburczyki, Czechy, Cesarstwo, dzicz wszelka bezkarnie w nią chciwemi pazury sięgają.

Giniemy, ojcze mój! giniemy!

— A jeszcze w mocy ludzkiej radzić na to? — odparł kanclerz.

— Choć pokusić się o to potrzeba — mówił książę. — Korona polska od Rzymu była zawiślą i jemu nie Cesarstwu hołdowała. Rzym zbawić nas może wracając utraconą koronę i władzę jedną. Rzym siłny jest.

Ks. Wincenty popatrzał nań zdumiony.

— Gdybyśmy mieli Arcybiskupa w Gnieźnie, jechałbym pewnie do niego, z nim radzić o tem, jemu się zwierzyć.

Zjednoczę w rękę całą Polskę wielką, po Mszczeniu wezmę Pomorze, po Leszku spodziewam się dostać Krakowa i Sandomierza. Dla czegożbym królem się nie miał nazwać i wszystkich książąt pomniejszych stać się głową?

Korona Chrobrego u was leży we skarbcu ze Szczerbcem — w Gnieźnie koronować się mogą. Ona mi da siłę, da potęgę, co ten nieład ukróci.

Mówił Przemysław z uniesieniem, podnosząc głos i ręce, zapal ten odbił się powoli na sercu Kanclerza. Myśl wielka, śmiała, zuchwała, uderzyła go, ale zdała mu się czemś niepoścignionem, marzeniem snów więziennych.

Sprzeciwiać się jednak nie śmiał. Patrzył na księcia, nie znajdując słowa ani na potwierdzenie, ani na naganę.

Przemko z oczów mu to czytał.

— Prawda? — rzekł — księżę Wincenty, zdaje ci się to szaleństwem, że ja świeżo z niewoli puszczony, oddawszy Wieluń, straciwszy z tego co miałem, śmiem sobie taką przyszłość wróżyć! Ale ja czuję, że gdybym miał na stolicy Biskupiej w Gnieźnie męża coby mnie podpierał a szedł ze mną, osiągnąłbym tego, czego pragnę.. odżywiłbym martwą Chrobrego koronę!

Ks. Wincenty zdobył się na odpowiedź w końcu.

— W. Miłość wiesz, że kapituła Gnieźnieńska osierocona jest od dawna. Wybrano Włościbora kanonika, którego w Rzymie potwierdzić nie chciano.

— Włościbora ja nie znam z czego innego — rzekł Przemko — tylko że mąż jest pobożny. Tu zaś, ojcze mój pobożności trzeba ale jej niedość, sama ona do tego wysokiego dostojęstwa nie starczy. Arcybiskup Gnieźnieński jest dziś u nas

jedynym panem i władzcą nad ziemiami naszymi, a widzicie, że i ten przy całej mocy jaką ma z Rzymu, nie może nic. Biskupów mu więżą, księży uciskają, klątwy nie starczą. Dwu nas tu powinno być jak tam na zachodzie Papież i Cesarz, u nas Papież i Król!

— Miłościwy panie — odezwał się z małym uśmiechem ks. Wincenty — byleby ci nasi panowie w lepszej zgodzie żyli niż tamci.. bo tam Cesarze papieżów więżą, a Papieże ich zrzucają.

Książę nie odpowiadając jechał w myślach pogrążony — widać było, że też same snuł dalej.

— Włóscibor — powtórzył — mąż pobożny ale nam potrzeba dzielnego.

— Gdy Bóg najlaskawszy ujrzy, że taki nam potrzebnym jest — dodał Wincenty — wierście mi! da go nam cudem, jak nieraz dawał stolicy swej ludzi co wczoraj zdawali się wątli i mali, a na niej rośli i olbrzymieli.

Książę ledwie dając dokończyć mówił dalej:

— Mój ojcie! mój ojcie, lękam się, abyście mnie fałszywie nie zrozumieli. Zda się wam może z tego com rzekł, że ja dla siebie korony pożądam ?? dla dogodzenia dumie mojej?

Obejrzał się ku niemu.

— Sądząc tak omyliłbyś się... Chcę korony tej dla ziemi mojej więcej niż dla siebie. Gdybym ją dostał, widzicie, że nie mam jej zostawić komu, ani bym mógł ją tak silną i wielką uczynić,

jakbym pragnął. Ale pod tą koroną zestrzeliłyby się wszystkie promienie starego królestwa, dziś rozpiezchłe... Królestwa, które jest teraz trupem zjedzonym przez robaki, a mogłoby być światłością wielką!

Kancelarz słuchał pilnie i nasłuchiwać się nie mógł, tak nowem to było z ust Przemysława, który rzadko dawniej o poważniejszych mówił sprawach, a pańskiego tyle tylko w nim widział, iż, naśladując Ottokara Czeskiego, świetnie i wspańiale występować lubił, co mu za złe poczytywano, bo małe księstwo nie starczyło na przepych, jakim się otaczał.

Inny, nowy Przemysław stał przed nim, któremu nie dowierzał jeszcze, czy mu się w oczach nie odmieni.

Jechali tak coraz dalej, a książę pytał Wincentego, czyby znużonym nie był.

— Nie czuję się wcale zmęczonym, boś mnie W. Miłość piękniemi orzeźwił słowami.

— Jak myślicie — odezwał się książę — rychło-li będzie obsadzona katedra w Gnieźnie?

— Jeden Bóg wie — rzekł kancelarz — zabiegają tam wielorakie... Być bardzo może, iż żaden z naszych nie osiedzie na katedrze Ś. Wojciecha, a naślą nam z Rzymu Włocha lub Francuza... Teraźniejszy Ojciec Św. cały być ma Francji oddany.

— Niech Bóg nas uchwata od tego — przerwał

Przemko. — W takim razie Włóścibor już lepszy! Kapituła może słuszne swe żale wynurzyć przed Papieżem...

— Do Rzymu! daleko! — westchnął ksiądz Wincenty.

Jechali milezący.

— Ojcie Wincenty — rzekł książę badając go oczyma. Nie zdałoby ci się dla kościoła, dla kraju, dla mnie, odprawić podróży do apostolskich pro-gów, aby tam zanieść prośby i skargi nasze?

Kancelarz spojrział zdziwiony.

— Maluczki jestem — rzekł -- głos mój tam ważyć nie będzie. Pojadę ja, rozniesie się wieść, pobiegną drudzy.. a trzeci wśród nas weisnie się i infułę pochwyć!

— Dla czegoż wszyscy o tem wiedzieć mają dokąd jedziecie i po co? — odezwał się książę.— Jabym wam dał listy moje i prośby do Ojca naszego.., mówilibyście nie od siebie, ale za mnie. Bóg wesprze cię swą opieką. Sprawa wielka i ważna. Przedstawicie Papieżowi jako to kró-lestwo, które hołduje jemu, rozerwane jest, i że wydarte będzie Rzymowi, a dostanie się Cesar-stwu, jeśli mąż silnej dłoni i rozumu bystrego nie siądzie na stolicy.

— Ale zkądże tego męża weźmiemy? — spytał ks. Wincenty — czy W. Miłość masz kogo w myśli?

Przemko oczy zwrócił w niebo, jaby w niem rady szukał.

— Opatrzność Boża musi nam przyjść na ratunek i męża tego zesłać, ja... nie mam nikogo, ale w nią ufam. Powieściecie żądania, człowiek się znajdzie. Niewiem kto on będzie, ale, jeśli Bóg nas ocalić ma, ześle nam męża powołanego.

Zamilkł chwilę.

— Wy coście biegli w piśmnie — dodał — wiecie najlepiej, iż w godzinach wielkich i stanowczych, Bóg zsyła proroki swe, władzce i kapłany. A bierze ich z pola i od trzód, z tłumu, z ciżby i namaszcza je i rosną ubłogosławieni, promieniem łaski, bo człowiek tyle ma sił, ile Bóg w niego wleje.

Zdumiał się znowu mowie tej w ustach księcia niezwykłej ks. Wincenty, sam Przemysław teraz zdał mu się powołanym przez Boga.

— Widzisz — mówił książę — jam także słaby jest i ułomny, a jednak we mnie wykluwa się myśl wielka. Urosła ona w więzieniu, trapiła mnie i gniotła jak na urągowisko, bom zamarzył o koronie wtenczas, gdy strażę stały u drzwi moich i urągały się upokorzeniu memu. Gdybym się powinien był czuć znękanym i przybitym, rosnę właśnie i potężniałem na duchu. Nie mogęż ja rzec, że mnie pan Bóg ukarał niewolą, abym z niej wyniósł ziarno, z którego urośnie korona? To co mnie zabić miało, odżywiło mnie! Daj mi powiernika Arcykapłana a... zobaczysz... dźwignę

Chrobrego koronę... Wynijdzie ona z grobu i zmartwych powstanie!

Oczy mu się lśniły, patrzył jak gdyby już ją miał na skroni.

— Jedziesz do Rzymu? — spytał milczącego Kanclerza.

— Spełnię rozkazy wasze — odpowiedział chłodno kanclerz — chociaż tej wiary jaką was Bóg obdarzył nie mam w sobie! Czyńcie ze mną co się wam podoba! Pozwólcie jednak przypomnieć, że ojciec wasz duchowny ks. Teodoryk do tego poselstwa zdolniejszym byłby nademnie. Zna lepiej obce kraje, bystrzejszym i przebieglejszym jest.

— Tak — rzekł Przemysław — ale mnie prawego i nieugiętego potrzeba posła, a on miękki jest i powolny do zbytku... Widzisz, że przed nim duszę moją odkrywając w sprawach innych, w tej mu się otworzyć nie chciałem. Prawości waszej potrzeba mi. Pojedziecie wy albo nikt. Nie darmo Bóg was dziś na mej drodze postawił.

Ks. Wincenty, na którego to nagle spadło, niespodzianie a dziwnie, zafrasowany był wyborem, jaki go spotkał. Uśmiechało mu się jak każdemu duchownemu zobaczyć apostolską stolicę, spełnić tak wielkie posłannictwo — obawiał się, czy mu podola.

— Jeśli możliwem to — odezwał się cicho —

odwróć, panie mój, odemnie te kielich razem nę-
cący a straszny.. Godniejszego wybiercie...

— Nie znam od was godniejszego!

Spojrzał nań wyzywająco.

— Jedźcie, księżę Wincenty!

— Pojadę!—odparł skłaniając głową Kancelarz.

— Oprócz Tylona, który listy wam wyda —
odezwał się prędko i wesoło Przemko — nikt
wiedzieć niema dokąd i z czym jedziecie. Niechaj
sądzą, że do Trewirn ślę was po relikwije, albo
do Kolonji po leki dla żony słabej.

Ks. Teodoryk mąż zacny, ale i on wiedzieć
nie potrzebuje, co zaszło między nami.

Na tem dokończył książkę.

Byli już daleko od miasta.

— Wy księżę Wincenty — rzekł Przemysław
zatrzymując się — wracajcie sami do Poznania.
Tylonowi pod pieczęcią spowiedzi zwierzenia com
wam rzekł, niech zamknawszy się listy do Pa-
pieża gotuje, ja pojadę do Gniezna, do grobu
Ś. Wojciecha, pomodlić się, aby Bóg za przyczyną
jego, koronie zardzewiałej dawny blask przywrócił.

Rzekł i zostawując kancelarza samego z jednym
pacholkiem, któremu towarzyszyć kazał, sam
szybko popędził w stronę Gniezna.

Kancelarz zostawszy sam, długo nie mógł zebrać
myśli powikłanych.

Tenli to był pan płochy a w przepychu próżnym
zamiłowany, którego znał dotąd? lekki ów ko-

chanek Miny, zaniedbujący żony, szukający pobocznych miłości, łatwowiernie dający się brać w sidła lada Ślązakowi?... czy nowy człowiek, który nagle ożywil to ciało?

Ks. Wincenty zbierał w pamięci co słyszał, dziwił się, nie dowierzał. Jutro miała w nim mieszkać też sama myśl czy — było to tylko wieczorne marzenie, o którem przez noc zapomni?

Dziwił go i sąd wyrzeczony o ojcu duchownym ks. Teodoryku. Znał go spokojny a poważny ks. Wincenty, jako człowieka przebiegłości pełnego i przebiegłością zbytnią a powolnością jednającego wszystkich, nie budzącego ufności w nikim — lecz sąd o nim pana zdumiewał go. Był pewien, że go potrafił ująć uniżonością swoją.

W tych myślach na wpół posłannictwu swojemu rad, wpół niem przelekkły, powrócił późno do Poznania i natychmiast udał się do ks. Tylona.

Tylon, stylista, którego całą mądrość stanowiło pisanie gładkie listów na pergaminie i ciągnięcie z nich korzyści, człowiek nie zbyt bystrego rozumu, ale wielkiego rozumienia o sobie; interesów pana swojego zdradzić nie mógł, z samej obawy stracenia urzędu. Powierzyć mu więc tajemnicę można było.

Gdy sam na sam we dwu znaleźli się w jego mieszkaniu przy małej lampce oliwnej, Tylon nderzony przybyciem kanclerza, przełożonego swo-

jego, o tej godzinie, nłakł się nieco. Na twarzy ks. Wincentego stało wypisano, iż z niemalej wagi sprawą przybywał.

Tyłon pospieszył do progu przeciw niemu.

— W. Miłość mogliście mnie powołać do siebie — rzekł ściskając go — byłbym pospieszył! Jest li co pilnego? Mam wygotować pismo jakie na jutro? Choć w nocy nie dobrze już oczy służą, gotówem!

Ks. Wincenty rękami piersi ucisnął, tak był wzruszony i zmęczony.

— Naprzód, — rzekł — drzwi obejrzyjcie, abyśmy podsłuchani nie byli. — Przychodzę do was z rozkazem księcia. —

Po obejrzeniu drzwi i sieni, zaryglowaniu się wewnątrz, poczał ks. Wincenty opowiadać o swej z Przemysławem rozmowie i podróży do Rzymu...

Chociaż ks. Pisarz bacznie się po domu rozpatrywał i ręczył, że nikt podsłuchać ich nie może, stało się przeciwnie. Podejrzliwy Zaręba, który się lękał, aby księżnie się coś nie stało i aby przeciw niej nie spiskowano, podpatrzył i wycieczkę kauciera z księciem i pospieszne jego przyjście do ks. Tyłona po powrocie.

Nie wzdragął się podkraść do drzwi dla podsłuchów, i do drzwi się przytuliwszy tyle podchwycił, iż mowa była o podróży do Rzymu.

Zrodziło to w nim podejrzenie, iż nie po co

innego, ks. Wincentego wyprawiano jak by z księżną, potomstwa niemającą, rozwód wyrobić.

Zwiększyło to jego miłość i litość dla nieśczęśliwej, a odrazę i niechęć do księcia.

Ale przeciwko temu jakaż była rada? co on mógł?

Przerażony i smutny wrócił do izby, którą z Nałęczem zajmowali.

Nie zwierzając się podejrzeń swych przed druhem, począł jak zwykle rozwodzić żale nad losem nieśczęśliwej.

— Widzieliście ją — mówił — taż to dusza się wzdryga na to, co z niej te baby niepocziwe uczyniły! Jak trup biedna chodzi bez czucia i życia!

Nałęcz dzieląc uczucia przyjaciela, dodał, że we dworze rozpowiadano głośno o odgrózkach Miny, która gotową była na wszystko, aby pozbyć się Lukierdy, a narzekała iż ona ani żyć, ani umrzeć nie może.

Najgorszych więc spodziewać się było można prześladowań i udręczeń.

Z wielkim zapalem Zaręba począł dowodzić, iż oni we dwu powinni byli biedną prześladowaną bronić i czuwać nad nią.

— Księżciu ona obojętna — nie patrzy nawet na nią, a Mina ją gotowa zabić!

— A cóż my możemy przeciwko babom? — odezwał się Nałęcz. Gorzej będzie, gdy kto w obro-

nie jej zechce stawać, bo i ją i jego posadzić i skarżyć gotowi.

Zaręba wprowadzie nie wiedział co począć i jak bronić, ale się zaklinał, iż gotów choćby szyję dać dla księżnej.

— Szyję dać to najłatwiej — szepnął Nałęcz.. — baby się o to postarają, byleś na zawadzie stanął.

— Niech się dzieje co chce! — krzyknął Zaręba.

— A żeśmy pobratymy — dołożył spokojnie Nałęcz — rozumie się, że co tobie, to i mnie...

Posprzeczała się, pogodzili i uścisnęli.

— Ha! ginać to ginać! — rzekł Nałęcz — nie tak że to słodka rzecz życie. Bóg z niem...

Siedzieli gwarząc o tem do późnej nocy, a na zajutrz rano Zaręba już się kręcił podpatrując, co się działo okolo niewieściego dworu.

Widział że Mina latała wielce rozgorączkowana, naradzając się z Bertochą, lecz podsłuchać nie nie mógł.

Z rana ledwie już iść mogąc, Lukierda po wlokła się do blizkiego kościoła, a po drodze zatrzymywać się kilkakroć musiała, bo jej tehu brakło.

Z pod zasłony jakby żalobnej, białej (bo taką noszono na głowie), widać było lice zbladłe, wychudzone i zwiędłe...

Zaręba, który za nią szedł i miał czas się przy-

patrzyć, wrócił oszalały z gniewu; kląć niemki i zlorzcząc księciu.

W ciągu dnia biegł ciągle wyglądając, czy nie wraca, ale go nie było i trzeciego dopiero przyjechał z Gniezna, ale natychmiast zamknął się z ks. Wincentym i Tylonem.

Ks. Teodoryk zazdrośny i niespokojny kręcił się także, chcąc pod jakimś pozorem wejść, ale książę grzecznie się go pozbyć umiał.

Późno już miał Przemko kłaść się na spoczynek, odmówiwszy z ks. Teodorykiem wieczorne modlitwy — gdy Zaręba stanął u progu i począł się domagać o posłuchanie sam na sam.

Dość niechętnie — zawsze w nim widząc nieprzyjaciela — książę się zwrócił ku niemu.

Zaręba sklonił się.

— Niech mi wolno będzie, — odezwał się, — przypomnieć W. Miłości służby moje wierne od dzieciństwa.

— Nie wypominajże ich! — odparł książę opryskliwie. — Mało ci? czego chcesz?

— Nie przyszedłem o nie prosić — rzekł Zaręba dumnie, — o jedno tylko, abym pana w was miał, którego bym mógł miłować i szanować. —

Przemko zwrócił się oburzony tą zuchwałą mową.

— Szalony jesteś! — krzyknął. — Ty!

Zaręba się nie cofnął.

— Com rzekł gotówem powtórzyć — zawo-

łał. — Wasza Miłość i Bożą pomstę i ludzką niechęć ściągasz na siebie, dając w oczach swych, za wiedzą swą niewinną niewiastę, córę księżęcą, zamęczać w śmierć!

— A tobie co do tego! — niepocziwy jakiś — krzyknął Przemysław. — Coś to ty jej, brat, opiekun, czy kochanek?

Zaręba z największą namiętnością wybuchnął.

— Anim brat, ani swat, — zawołał, — alem człowiek, co litość ma! Na to patrzeć nie można co grzechem jest o pomstę do Boga wołającym!

— Milez! ty! — zawołał napadając nań Przemysław...

— Milczeć nie mogę i nie będę — mówić muszę! — ciągnął z pasją największą Zaręba. — Książę nie chcesz widzieć tego, że ja niemki niepocziwe zabijają, — a zdałeś ją na ich łaskę i niełaskę.. Tak! one ją zabijają! odgrają się z tem i zrobią.. Wśród jej sług nie ma jednej pocziwej. Piastunkę, co ją strzegła zabili.. na jej gardło godzą!

Książę słuchał coraz się bardziej gniewem unosząc — przeciw słudze, który śmiał mu dawać nauki. Widać było jednak, że go ogarniał niepokój, który utaić się starał.

— Coś ty za jeden? — zamruczał — co? jak ty śmiesz stawić się prokuratorem księżnej? prosiła cię o to! Ty! Wiesz, że ja mam tu władzę najwyższą? Mnie nikt sądzić nie ma prawa!

I rzuciwszy się na sługę, Przemko pochwycił go za gardło. Zaręba całej mocy, jaką nad sobą miał zażyć musiał, aby nawzajem nie porwać się księcia.

Lecz gdyby rękę podniósł tylko, wiedział że to życiem przypłaci.

Zcierpiał więc, twarz mu krwią nabiegła —

Przemko ochłonął, puścił go i silnie pchnął od siebie.

— Dziękuj Bogu — krzyknął trzęsąc się od gniewu — dziękuj Bogu, że wyjdiesz ztąd cały!

Od tej chwili żebyś mi się niepokazywał na oczy! Precz z dworu! Jeżeli jutro zobaczę cię na zamku, każę rzucić do jamy, z której nie wyjdiesz żywy...

Precz! precz! — powtarzał coraz głośniejsz miotając się od gniewu.

— Idę — ponuro odparł Zaręba — a no — słowo między nami ostatnie. Pamiętaj książę, jeżeli dasz tę nieszczęśliwą o śmierć przyprowadzić — takąż śmiercią sam zginiesz!!

Dokończywszy słów tych, które Przemysława na chwilę skamieniły, — bo stanął niemy rążony jak posągi — Zaręba otworzył drzwi i wybiegł.

Nie myślał nawet o tem, że ścigać go mogli, że mu niebezpieczeństwo groziło — nieprzytomny był. Wprost wpadł do izby swej i chłopcu konia osiodłanego podawać kazał.

Nałęcz drzemiący już zerwał się z ławy, loskot posłyszawszy, a gdy zobaczył druha z twarzą wywróconą, z oczyma palającemi, pochwycił go oburącz wołając :

— Co się stało ?

— Nie strzymałem się — począł głosem przerwany Zaręba — bluznałem księciu w oczy ! Zagroził mi wygnaniem, jamą, śmiercią, precz iść muszę. . Gdy się opamięta albo mnie da ściąć lub. .

Nałęcz nie dosłuchawszy do końca pochwycił ze ściany hełm swój i miecz, przypasując go spiesźnie.

Nie odezwał się ani słowa, lecz widać było, że chciał, bez namysłu, losy przyjaciela podzielać.

Zaręba ani go pytał ni strzymywał. . . Nie mówiąc do siebie poczęli chwytac co mieli najdroższego ze ścian i skrzyń, nie mając czasu wszystkiego zabierać.

Co śpieszniej trzeba było z zamku uchodzić.

Zarębie już konia wiedziono i pod oknami tentent kopyt słyhać było, gdy Nałęcz do stajni pobiegł po swojego. Zarzucił nań pierwsze lepsze siadzenie po ciemku, dosiadł go i z szopy wyjechał. Zaręba czekał nań nie ruszając się z miejsca.

Kłusem podążyli ku wrotom już zamkniętym, ale Zaręba otwierać je kazał, i zaledwie wyknąwszy się za nie, oba wezwał puscili się jedną drogą.

Książę stał jeszcze rozmyślając co pocznie,

gdy tentent w podwórcu posłyszał. Gniew, który na czas krótki przytomność mu odjął, wybuchnął. Wypadł sam wołając komorników, podkomorzego, aby zuchwalec Zarębę, który śmiał go słowy niepoczciwemi tknąć, chwytano natychmiast i do ciemnicy rzucono.

Nim rozkazy te niespodzianie wydane zrozumieli ludzie, ruszyli się, szukać poczęli winowajcy — oni już oba z Nalęczem byli za miastem daleko.

W izbie, do której wpadła czeladź, znalazła wszystko porozrzucone, ślad tylko, że jej mieszkancy nagłe ztąd uchodzili.

W szopie koni nie było.

Natychmiast czeladź na koń posiadała, aby gonić za niemi, Podkomorzy dał księciu znać, że Zaręba wraz z druheni pośpieszyli z zamku się wykraść, i pogoń za niemi wysłano.

Nie było tajemnicą dla części dworu książęcego co zaszło między panem a sługą. W czasie krzykliwej z Zarębą rozprawy, kilku u drzwi słuchało. — Pomiędzy niemi byli przyjaciele Miny i Bertochy.

Gdy wrzawa na zamku powstała, pobiegli zaraz z doniesieniem, że Zaręba ważył się panu za księżnę czynić wymówki, że mu groził nawet.

Mina posłyszawszy w ręce płaśnieła z radości.

— Ten mi pomógł jak należy! — zawołała. — Juści kiedy tak za nią gardłował, kochankiem

jej był — to jawna rzecz... Sam się zdradził. A książę ma cierpieć wiarołomną przy sobie, która na śmierć zasłużyła?

Obie z Bertochą żwawo się naradzać zaczęły.

Przez całą noc niemal na zamku snu nie było, biegano, słano, a pogonie zmęczone napróżno powracały.

Zbiegów pochwycić nie mogły.

Gdy księciu o tem dano znać, obojętnie skinął ręką, jakby już do tego wielkiej nie przywiązywał wagi. Rad był może, iż mu winowajca uszedł.

Lecz gniew w nim nie ustał jeszcze.

Następnego dnia gotując się z tego korzystać czekała nań Mina, ale nie przyszedł.

Nie był też u Lukierdy.

Księdzu Teodorykowi żywoty jakieś czytać sobie kazał i sam pozostał w izbach zamknięty.

Parę razy Bertocha próbowała dostać się do niego — nie pozwolił jej puszczać do siebie.

Do późnej nocy Mina czatowała w podwórzu czy się nie pokaże, aby mu zająć drogę — ale nie przestąpił progu.

Z szeptów namiętnych około siebie Lukierda domyślała się, że coś zaszło, lecz obojętna pytać nie chciała.

Żadna groźba dotknąć już jej nie mogła.

Umysł jej na poły obłąkany tem zerwaniem z rzeczywistością — w przeszłości i wspomnieniach szukał pociechy. Mieszkała w nich i z niemi,

wyobrażała sobie, iż to co się z nią działo, marzeniem było, a sny jej prawdą.

Mina i Bertocha stawały zdumione, gdy czasem przy nich, oczy zamknawszy nucić zaczęła, płakać i jakby z niewidzialnemi rozmawiać duchami.

— Czarownica jest jak Orcha! — mówiła Bertocha.

— Nie, tylko rozum straciła — odpowiedziała Mina. — Schnie to stworzenie, szaleje a zdechnąć nie może.

I po za nią stojąc pięści podnosiła do góry, jakby dobić ją chciała.

Śmiechy i groźby niewiast, już na niej żadnego nie czyniły wrażenia. — Nie widziała i nie słyszała ich — patrząc w te światy swoje, w których cała była.

Po upływie dni kilku, Przemko, który teraz zarówno obu, żony i kochanki unikał — ciekawością może wiedziony, wszedł do Lukierdy, właśnie w jednej z tych chwil widzeń i marzeń, co ją odrywały od ziemi.

Wejście męża przebudziło ją — wstała.

Spojrzała nań milcząc, oczyma przeszywającemi, obłąkanemi i zachwiałwszy się na nogach, musiała upaść na siedzenie.

W Przemysławie widok jej zamiast litości, gniew wywoływał.

— Tęsknisz pewnie za straconym kochankiem! zamruczał szydersko.

Lukierda nie zdawała się rozumieć.

— Kochankiem? — odezwała się po namyśle. — A któż takiego trupa jak ja kochać może?

Wyciągnęła ręce wychudłe, odsłoniła twarz bladą i spojrzała z pogardą na męża.

— Czyż mnie jeszcze zwać trzeba — odezwała się — aby mieć za co dobić? Wszak i tak mnie zamęczą! Dajcie mi czystą umierać! albo.. albo.. (podniosła się składając ręce) a! dajcie mi pieszo, boso iść ztąd precz! Nie nie wezmę, nawet sukni, którą z sobą przyniosłam.. nie — pójdę o żebrany chlebie! Przyjmą mnie moi, albo dobrzy ludzie! Są dobrzy na świecie. Nie męczcie mnie, puście...

Placz miała w głosie, Przemko słuchając uśmiechał się gniewny.

— Któż cię tu męczy? — mruknął.

— A! wszyscy! Ściany, ludzie.. powietrze, woda.. wszystko — zawołała nie patrząc na niego, jakby sama do siebie. — A! i piastunkę starą, co mnie broniła.. zabili!

Książe się burzyć zaczynał.

Zatrząsł się, słuchać już nie chciał, wybiegł uderzywszy drzwiami.

Bertocha z Miną, drogę mu zabiegły.

— Ona szalona jest! — poczęła Mina widząc zagniewanego pana. — Zawodzi ciągle żale, aby ludzie słuchali i litowali się jej, a księcia nie nawidzili!

— Życie nam z nią obrzydło — dodała Ber-tocha. — Dnia ni nocy spokojnej niema.. Głowy tracimy, bo jej nie dogodzić niczem!

Krzyków niewieścich nie mogąc znieść Prze-mysław, dał znak ręką, aby zamilkły i odszedł zagniewany.

Ks. Teodoryk, który zdala wszystko śledził, chcąc zbadać usposobienie księcia — bo się do-rozumiewał z podróży kanclerza, iż o rozwód iść mogło — naprowadził wieczorną rozmowę na Lukierdę.

— Zdrowie miłościwej pani naszej — rzekł — w oplakanyim stanie... Mówią wiele o sławnym lekarzu, który księżnie Gryfinie miał potomstwo obiecać, czyby go nie wezwać z Krakowa, aby radził księżnie naszej?

— Księżnic?? — odparł roztargniony Przemko, księżnie?

— W oczach nam niknie i dogorywa — dodał ks. Teodoryk. — Wasza Miłość potrzebujesz matki rodu, potomstwa, a tu żadnej niema nadziei.

Na takie nieszcześliwe związki monarchów w Rzymie wzięły mają.

Rzucił to słówko ks. Teodoryk, sądząc, że niem może dobędzie coś z księcia, którego, zdało mu się, że odgadnął. Przemysław jakby nie po-słyszawszy nawet, czy nie chcąc rozumieć, odparł:

— We wszystkiem godzić się potrzeba z wolą Bożą...

Zbyt go tem, co niemówiło nic, a nawet nie dozwalało odgadnąć co myślał.

Badanie nie powiodło się ks. Teodorykowi, ale nie wybiło mu z myśli tego, iż ks. Wincenty musiał dla rozvodu posłany być do Rzymu. Książę rad był może, iż go tak fałszywie posądzano.

Spróbował jeszcze ojciec duchowny litościwem słowem odezwać się o księżnie, sławiąc jej dobroć i pobożność, ale na to żadnej nie otrzymał odpowiedzi.

Mina krzątała się niespokojna, przypisując zawsze obojętność księcia politowaniu nad żoną. Uczucie to rosło tem więcej, im dłużej Przemysław unikał jej. Nigdy jeszcze nie trafiło się, aby na długo tak ją zaniedbał, tak widocznie ostygł dla niej. Oburzała się na niego, odgrażała, zowiąc niewdzięcznym.

Stawała na czatach w miejscach, przez które zwykł był przechodzić, chcąc go gwałtem zaciągnąć do siebie, ale długo pochwycić nigdzie nie mogła.

Nareście wieczora jednego udało jej się zastąpić mu drogę.

— Cóż to — zawołała — mam już na pośmiewisko ludziom pozostać opuszczoną?

Przemko nie odpowiedział.

— Wy mnie znacie, żeja dobrą i złą być umiem! Ja się nie dam tak na śmiecisko wyrzucić.

Książę rękę starał się ją usunąć na stronę, lecz nie ruszyła z miejsca.

— Potrzebuję rozmówić się z wami! — dodała.

— A ja niechęć mówić z tobą! — zawołał Przemko. — Słyszysz!

Niemka z bólu i gniewu zdrętwiała.

— Tamta ci już miłsza! — krzyknęła — ten trup błady! Wolisz teraz swoją księżną panią, niż prostą dziewczkę, którą można wygnać precz choć z niewoli, a może od śmierci ocaliła!

Wołała tak niezważając na to, iż w podwórzu ludzie przechodzili, książę stał dumny coraz groźniej się marszcząc i widoczniej niecierpliwiąc. Oziębłość ta i pogarda wzmaczały gniew Miny.

— Tak! teraz znać mnie niechcesz! — wołała głośno, nieruszając się z miejsca. — Wstydzisz się mnie. A gdyby nie ja, Łysy by cię był zgnoił lub ubił w lochu...

Przemko nie mogąc się jej pozbyć, zawrócił się i wszedł do pierwszej izby, jaka mu się nastręczyła. Mina pognała za nim, — było to jej nowe mieszkanie...

Niemka miała czas na zamku zagospodarować się jak pani. Wiele sprzętu pozabieranego bez wiadomości Lukierdy przysstrajało jej izby i stoły. Suknie nawet, których księżna prawie nigdy niekładała, ani pytała o nie, poprzehodziły do niej.

Bertocha i Mina nie bały się rabować Lukier-

dę, bo ta, oprócz kilkun skromnych pamiątek przywiezionych z domu, do niczego nie przywiązywała ceny. Niemka przepychem lubiąc się chwalić przed ludźmi, zagarniała co mogła. Uderzyło księcia porównanie ubóstwa i zaniedbania żony ze zbytkiem w jaki ta opływała.. Nie powiedział nic, ale powlókł wzrokiem do koła, i ta myśl, że jakaś służebna roila sobie może, iż zasiądzie obok niego, dumę jego obraziła. Patrzył stojąc zadumany. Mina czekała na słowo jakieś, coby dawną miłość przypomniało — napróżno.

Siadł potem znużony, opierając się na rękę.., twarz miał zasepioną.

Mina zżałamanemi rękami, stała wciąż przed nim.

Zaczęła próbować uśmiechu, lecz spojrzenie które rzucił na nią, zwarzyło go.

— Ani dobrego słowa! — zawołała.

Przemysław zmierzył ją oczyma, nie powiedział nic, poruszył się tylko niecierpliwie i odwrócił od niej.

Niemka naprzeciw niego usiadła, założyła ręce na piersiach, nie spuszczała go z oka.

— Widzę, — rzekła, — żeście choć późno pokochali się w żonie!

I tem jeszcze nie wywołała odpowiedzi.

— Jej dni policzone! — dodała — ledwie dysze...

Rzucił się książę, lecz ta oznaka nowa niecierpliwości ust jej nie zamknęła.

— Jak nie ją i nie mnie — to przecie sobie inną może znaleźliście do kochania? — odezwała się niemka.

Książę się rozśmiał pogardliwie.

— Wam ino to bzdurstwo w głowie! — zamruczał.

— Bez niego i wy też nie wyżyjecie — ciągnęła dalej Mina. Wszyscyście jednacy, książęta i chłopci! Gdy się wam stare twarze uprzykrzą, myślicie że już kochania koniec, a wam nowego się chce tylko!

I na to książę nie rzekł nic.

Mina widząc, że go słowy nie rozehmurzy, poruszyła się przyjmować winem i łakociami.

Książę przyjął kubek, twarz mu się nieco rozpogodziła.

Zręczna niemka żarciem swawolnym i śmiechem starała się go zabawić. Poskutkowało to i książę zdawał się zapominać o trosce, z którą tu przyszedł.

Uśmiechnął się nawet, choć dosyć chłodno, ale i to był znak dobry. Mina pochwyciła go za rękę...

— Darmo! — zawołała — nikt was tak jak ja kochać nie będzie, i wy nikogo jak mnie! Nad tamtą chorą litość mieć możesz... ale serca dla niej nigdy!

Chciała go wyciągnąć na słowo, lecz Przemysław słuchał roztargniony. Myślami był gdziein-

dziej, szczebiotanie to i przypominanie żony, męczyło go.

— Tamta! — mówiła Mina — to widmo już tylko straszne, co się niewiedzieć na co włości po świecie, a nam wszystkim życie zatruwa.

Rozum postradała, sama nie wie, co się z nią dzieje.., to płacze, to śpiewa, to narzeka na cały świat i na was — na was, żeście jej życie zatruli i zgubili.

Przemysław w końcu rzucił się i wybuchnął ręką bijąc o stół.

— I od was i od niej radbym, żeby mnie kto uwolnił.. Dosyć już mam i tego trupa i tego narzekania!

Póty!

Wskazał na gardło. Dopił kubka, cisnął nim i wyszedł z izby.

Miny oczy zaświeciły.

— Powiedział — powiedział! — żeby go od tego trupa uwolnić!

Uśmiechnęła się spoglądając na drzwi.

— Mam słowo!! Uwolnim cię od niego!!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.















Biblioteka Raczyńskich

JK 545



JK0545